Sierpień 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXVIII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 6, TELEFON 9-27-6

Sierpień 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ



TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXVIII

68

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61



Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Telefon 649-04.

TREŚĆ

Str.

A WIĘC JEDNAK RUSIN...!

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak przykro odczuł położenie własnej niemocy, jak w pierwszych tygodniach po tragicznym zgonie nieodżałowanej pamięci Ministra Pierackiego przez to, że wskutek dorocznej, przymusowej przerwy letniej w naszem wydawnictwie nie mogła „Nasza Przyszłość“ dołączyć swego głosu do ogólno-krajowego chóru żalu i najostrzejszego potępienia zbrodni.

Ale może lepiej, że nie mogła uczynić tego wówczas, pod pierwszem wrażeniem wstrząsu, najszczerszego żalu i mimowolnego pragnienia zemsty, które ogarnia w pierwszej chwili naturę ludzką na wiadomość o podobnie potwornym czynie. Może lepiej się stało, bo dziś, po upływie paru miesięcy, pióro wypisać się może spokojniej, ale zato głębiej i — skuteczniej.

Żałujemy wybitnego naprawdę męża stanu, którego niezwykle jasny, realny i dobrze przetrawiony sąd o ludziach i rzeczach mieliśmy sposobność poznać z bezpośredniego kontaktu ze ś. p. Ministrem Pierackim. Ale żałujemy czegoś więcej jeszcze: dobrego człowieka. Bo Bronisław Pieracki był naprawdę dobrym człowiekiem, a jest to walor niezmiernie cenny i nieczęsty w obecnej, powojennej, burzliwej dobie, w której etyka, poświęcenia bezinteresowne dla sprawy i wyższe zalety serca i umysłu nie są zbyt częstem zjawiskiem. Bronisław Pieracki chciał dobrze i posiadał moc charakteru, aby tę chęć dobrą wcielać w rozumny czyn na wszystkich polach swej niestety krótkiej, ale pięknej i obfitej w owoce działalności.

I dlatego żal nasz jest podwójnie głęboki.

Jedynem, naprawdę skutecznem zadośćuczynieniem

dla uczciwej polskiej opinji publicznej były tylko wnet po tragicznym wypadku słowa p. premjera Kozłowskiego, który oświadczył oficjalnie, że kierunek wewnętrznej polityki Rządu, reprezentowany przez ś. p. Zmarłego, który jak żołnierz legł od kuli na posterunku, nie ulegnie żadnej zmianie. Tak, będzie to istotnie najskuteczniejszem zadośćuczynieniem dla głęboko zranionego uczucia narodowego i państwowego wszystkich uczciwie i szczerze myślących Polaków, jeżeli głęboko przemyślany i ze zdumiewającą w tak stosunkowo młodym człowieku jasnością wdrożony program polityczny kontynuowany będzie z żelazną konsekwencją, bez żadnych zmian i poprawek. Kontynuowanie dzieła mądrego i zasłużonego człowieka jest także wielką mądrością i zasługą. A złoczyńcy i wrogowie widzieć muszą wyraźnie, że ich niepoczytalny wyczyn żadnej nie przyniósł im korzyści, że bieg państwowej polityki jest w dalszym ciągu absolutnie i bezwzględnie taki, jakgdyby zgładzony podstępnie Minister stał dalej na swym posterunku.

Jest to żądanie, płynące żywiołowo z uczuć społeczeństwa polskiego pod adresem Rządu, żądanie głębsze i gorętsze, niż nawet ukaranie jednego lub kilku zamachowców. Bo ręką zbrodniarza kierowała nie jakaś prywatna jego pobudka, ale kierowały nią bez żadnej wątpliwości system i metoda pewnego odłamu obywateli państwa i dlatego skazanie na śmierć jednego lub kilku rozbestwionych spiskowców nie będzie samo przez się jeszcze żadnem zadośćuczynieniem dla wzbu zonej opinji publicznej, dla znieważonego autorytetu Rządu i dla honoru Rzeczypospolitej.

Musi natomiast przekonać się ów odłam warcholskich obywateli Państwa, płodzący ustawicznie atmosferę gwałtu i anarchji, że strzały na Foksalu wprawdzie ugodziły materjalnie człowieka, ale politycznie trafiły — w powietrze.

Niesłuszne też politycznie byłyby w tym wypadku jakiekolwiek szersze represje, gdyż wzbudziłyby w bezpo-

średnich i pośrednich inicjatorach zbrodni zarozumialcze mniemanie, że Polska się ich boi, że są tak ważkim czynnikiem w ewolucji losów Państwa, iż „przerażony rząd i społeczeństwo polskie“ chwytają się jakichś nadzwyczajnych środków do walki z tym rzekomo „potężnym“ wrogiem. Mogłoby to im przewrócić w głowach i słusznie mogliby sobie powiedzieć z piekielnem zadowoleniem: ot stworzyliśmy strachy na lachy!

Nie, żadnego lacha nie zastraszy już dzisiaj ta zbrodnicza łobuzerja. Poznaliśmy ją dobrze od niepamiętnych czasów, poznaliśmy ją jeszcze lepiej w ciągu kilkunastu lat ostatnich i wiemy także i to, że jałowością swoją zgrała się już na całym świecie i nikt jej w Polsce i zagranicą już na serjo nie traktuje. Dlatego bezpośredni zbrodniarze i bezpośredni podżegacze zbrodni winni być w krótkim procesie ukarani, jak należy, jak pospolici winowajcy, bez nadawania ich sprawie jakiegokolwiek politycznie ideowego posmaku, a moralni wytwórcy całej tej niesamowitej, prawdziwie „wschodniej“ atmosfery warcholstwa i permanentnej anarchji winni osiąść po tem wszystkiem na swym patrjotycznym... piasku. Przekonywanie umysłów o wysokiej kulturze jest rzeczą odpowiedniej, kulturalnej dyskusji, umysły zaś prymitywne, niezdolne do logicznego rozumowania, wymagają tresury. Gdy się takie warchoły raz, drugi i trzeci przekonają namacalnie, że ich dzikie, nieeuropejskie metody, systemy i wyczyny żadnej praktycznej nie przynoszą im korzyści i za każdym razem osadzają ich na piasku z piętnem hajdamaków w oczach całego cywilizowanego świata, to może dojdą wkońcu do przekonania, że nie tędy droga!

Nie zdziwiło nas to wcale, że wobec potworności i bezdennej bezmyślności zbrodni różne odłamy społeczne, czy organizacje w naszem Państwie, mające z tego lub nawet całkiem innego powodu niezbyt czyste sumienie, zaczęły pompatycznie zrzucać z siebie odpowiedzialność za zbrod-

nię i zwalać ją na drugich. Im większy warchoł w Państwie, tem skwapliwiej broni się a priori przed niesformułowanem jeszcze przez nikogo oskarżeniem. Widać, że wielu jest w kraju naszym ludzi i organizacji, na których w krytycznych momentach czapki goreją! Nie próżnowała też i plotka, stołeczna i prowincjonalna, wymyślając najpotworniejsze — i oczywiście najsensacyjniejsze — domysły i pomysły. Mówiono, między innemi, o polskich hitlerowcach i innych różnobrawnych, a niezawsze czystych koszulach, które u nas w ostatnich czasach „małpiem naśladownictwem weszły do zwyczaju“ i które to koszule, oparte o jakieś olbrzymie machinacje zagraniczne, czy międzynarodowe, miały niby tego zamachu dokonać.

Tak prawiono. A najgłupszym ze wszystkich okazał się pewien dziennik ukraiński, który z układną naiwnością dowodził, że żaden Ukrainiec, nawet najgorszy, nie byłby wstanie tej zbrodni dokonać, skoro przecież żaden Ukrainiec nie zna tak dobrze planu miasta Warszawy, a więc nie mógłby wiedzieć, że z Foksalu ucieka się przez ulicę Kopernika na Szczyglą, a potem jakimiś schodkami!!! A zresztą żaden heroj ukraiński nie strzela z za węgła domu! A więc widocznie stosuje obyczaj dawnych rycerzy i mając kogoś zastrzelić, woła na niego z daleka, jak Zawisza Czarny do Krzyżaka pod Grunwaldem: Zwróć Niemcze głowę i poddaj się, albo potykaj się zemną! A potem, gdy ofiara głowę odwróci, strzela jej w pierś twarzą w twarz, poczem z pieśnią „Szcze ne umerła“ oddaje się z patetycznym gestem w ręce nadbiegającej policji.

To właśnie wszystko chciał w opinję publiczną wmówić ów poczytny dziennik ukraiński.

My, z grona „Naszej Przyszłości“, choć bynajmniej nie przypisujemy sobie zwykle owej nadprzyrodzonej dziennikarskiej intuicji, którą chełpi się — oczywiście ex post — każdy wytrawny dziennikarz, że przewidział każdy wypadek conajmniej na dziesięć lat naprzód, to jednak tym

razem, na pierwszą wiadomość o zbrodni i wobec pierwszego szturmu wspomnianych plotek i wzajemnych inkryminacji i apologji, sformułowaliśmy sobie na podstawie własnego, aż nadto dosadnego doświadczenia, tylko jedną jedyną hipotezę: To mógł zrobić tylko Rusin. Bo przecież żaden Polak, nawet najzacieklejszy opozycjonista, nie mógłby popełnić tak samobójczego dla siebie, dla swej idei i dla swej organizacji czynu, równającego się dla nich w pierwszym rzędzie moralnemu wyrokowi śmierci i likwidacji. Taki krok polityki rozpaczy, taki bezmyślny skok wstecz i w przepaść zarazem charakteryzuje wybitnie tylko mentalność ruską, czy, jak się to od pewnego czasu mówi, ukraińską. Trzeba być członkiem społeczeństwa wiecznej negacji, aby mordować po kolei uczciwych ludzi innej narodowości i to właśnie myślących dobrze o ukraińskim narodzie. W polskich powstaniach robili patrjotyczni spiskowcy nieraz zamachy, ale na katów i krwawych tyranów, którzy wszelki ślad polskości chcieli zniszczyć materjalnie i moralnie. Ale nie strzelali, jako członkowie pozytywnie myślącego społeczeństwa, nigdy do przychylnych nam zaborców. Bo Polak o ojczyźnie swej i o swych narodowych ideałach myśli pozytywnie, jako członek zachodniej, cywilizowanej grupy społeczeństw i stara się praktycznie z każdej, choćby napół tylko korzystnej sytuacji, jakieś konkretne korzyści dla swej sprawy osiągnąć.

I dlatego właśnie padło między nami, wbrew wszelkim innym przypuszczeniom postronnym, odrazu jedno tylko słowo: Rusin! A wkrótce potem oficjalne dochodzenia i ujęcie organizatorów, a nawet jednego z uczestników zbrodni, potwierdziły nasze przypuszczenie.

Dlaczego Rusini splamili znowu siebie i całą swą sprawę tak ohydnem, podstępnem, a tchórzliwem morderstwem uczciwego i sprawiedliwie sprawę ruską traktującego człowieka i męża stanu? Właśnie dlatego, że był uczciwym i sprawiedliwym. Długie doświadczenie wykazuje już teraz

niezbicie, że prymitywna i nawskroś negatywna — nawet wobec własnego interesu — mentalność rusko-hajdamacka nie znosi przyjaciół i sprawiedliwego ich sądu, ale z tępym uporem zwraca się właśnie przeciw każdemu, który Rusina i sprawę ruską chce traktować sprawiedliwie, życzliwie, po ludzku. Rusin od niepamiętnych czasów był zawsze pod czyimś batem i jego mentalność przyzwyczaiła się tak do jednostronnej walki z tym batem, że nawet kiedy tego bata nad sobą nie widzi, to go sobie w fikcji swej sztucznie stwarza. Rusin, gdy niema przed sobą przeciwnika, realnego lub urojonego, staje bezradny i nie wie, co począć, czego żądać i jak się zachować. Pozytywnej pracy dla swej idei narodowej, pracy ściśle konstruktywnej, pozbawionej owej fikcji oporu wobec bata, Rusin zupełnie nie pojmuje. Sześć czy siedem wieków historji wypruło tę zdolność z duszy ruskiej. Stąd nie rozumie Rusin korzyści współpracy z nierusinem i stąd gotów mordować każdego, kto bez bata, z wyciągniętą ręką do niego przystępuje.

Tu tkwi geneza mordu Hołówki, Pierackiego, a nawet własnych uczciwych i rozumnych ludzi ze swego społeczeństwa, jak np. prof. Twerdochliba.

Ale w danym wypadku chodziło jeszcze o coś innego. Rok temu właśnie, na podstawie własnych, paroletnich doświadczeń i kontaktu z najbardziej umiarkowanym — zdawałoby się — odłamem społeczeństwa ruskiego, ogłosiła „Nasza Przyszłość“ w obszernym artykule aż nadto realnie umotywowane twierdzenie, że obecnym głównym celem „polityki“ społeczeństwa ruskiego, zamieszkującego Małopolskę Wschodnią, jest stopniowy podbój ziem polskich, z jednej strony w kierunku północnym poprzez Wołyń, Chełmszczyznę, Polesie aż po Wilno, z drugiej w kierunku zachodnim, w oparciu o Łemkowszczyznę, aż niemal po mury Krakowa. A tendencję tę dyktuje Rusinom przeświadczenie, że sprawa ich w Rosji sowieckiej, w Li-

dze Narodów i we wszystkich państwach, o które aspiracje swe opierali, jest stracona, pozostaje więc tylko jaknajwiększa ekspansja ukrainizmu w Polsce i to nawet na jej ziemiach zupełnie nie ruskich, gdzie tylko choćby paru chłopów ruskiego pochodzenia przypadkiem się znajdzie i gdzie megalomańsko podniecane fantazje historyczne zakreślają roznacjonalizowanym i rozgorączkowanym herojom hajdamackim jakieś dawno przebrzmiałe lub nawet nigdy na serjo nie zaistniałe granice ongiś niby ruskiego władania.

Przy tej okazji musimy nawiasem dodać, że widzieliśmy niedawno w pewnem piśmie ukraińskiem, czy polsko-ukraińskiem, interesującą mapkę, która pozostawia daleko za sobą najbardziej megalomańskie koncepcje rasistów niemieckich. Bo jeżeli najzacieklejszy hitlerowiec zakreśla swe „historycznie uzasadnione" pretensje na przestrzeni od Renu do Dniepru, gdzie podobno Waregowie założyli „rdzennie niemiecki" Kijów, to na owej mapce z pisemka ukraińskiego widzieliśmy zakreskowany zasięg ziem, zamieszkałych przez Ukraińców, w olbrzymim pasie od Europy środkowej poprzez Polskę, północne Węgry, Rumunję, połowę Rosji, Turkestan i Syberję, aż niemal po brzegi Oceanu spokojnego. Patrząc na tę mapę, miało się mimowolne wrażenie jakiejś idei Dżyngischana lub Tamerlana, który na czele hord z dwudziestu siedmiu zdobytych królestw w Azji i części Europy ma wyruszyć na podbój reszty świata. Swoją drogą zganić trzeba autora tej mapy za niedokładność, bo zapomniał przeprowadzić podobnej wstęgi przez Amerykę, gdzie przecież także wielu Ukraińców się znajduje. Wówczas dopiero opasałaby idea wielkoukraińska ekspansją swą cały glob ziemski! Ale gdzież centrum tego przyszłego światowego mocarstwa, gdzież gniazdo, które ma poruszyć ten niebywały w dziejach zasięg osiedlenia gigantycznego szczepu i rzucić słowa komendy do pochodu na podbój świata? Oczywiście nie bolszewicki Kijów, nie Pra-

ga, nie Berlin, nie Charków, Irkuck, czy Charbin, bo tam wszędzie realizacja takiej komendy natrafiłaby jednak na pewne przeszkody. Zew taki wyjść może tylko z Lwiego Grodu — ze Świętojurskiego wzgórza. Rzecz oczywista!

Prawda, jaka wspaniała koncepcja? To wszystko oczywiście nie było na owej mapie wypisane, ale już samo jej wykreślenie mówi wiele, bardzo wiele...

Ale to tylko nawiasem. Narazie, jak „Nasza Przyszłość“ stwierdziła, chodzi małopolskim Ukraińcom o podbój dla siebie jaknajwiększych obszarów w Polsce i to nawet w najrdzenniejszej Polsce, gdzie może sobie tu i ówdzie mieszkać kilka Rusinów, ale gdzie się o Ukrainie chyba nigdy nawet nie śniło. Bo rzecz wiadoma i bezsporna od wieków, że Ukraina, to pewien obszar geograficzny na wschód od Wołynia i Podola.

To „odkrycie“, a raczej tylko otwarte przygwożdżenie na widoku publicznym właściwych, najistotniejszych tendencji całego społeczeństwa ruskiego, zamieszkującego Małopolskę wschodnią, tendencji, które wiążą dzisiaj wszelakie grupy tego społeczeństwa świadomie lub podświadomie — od najbardziej umiarkowanych do najskrajniejszych radykałów i zamachowców — utkwiło jednak głęboko w szczególnie zainteresowanych tą sprawą sferach polskich i ruskich. Mamy wrażenie, że — oczywiście niezależnie od tego naszego odkrycia, bo na podstawie własnej, daleko lepszej jeszcze orjentacji w tych stosunkach — ś. p. Minister Pieracki zdawał sobie także dokładnie sprawę z tego stanu rzeczy, z tej rzeczywistością dyktowanej rezygnacji Ukraińców małopolskich z zagranicznej pomocy i brania w rachubę Ukrainy zakordonowej dla swych doraźnych celów politycznych, a natomiast skierowania się w ostatnich latach wszystkich ich wysiłków na ukrainizację większej części obszaru Państwa polskiego, jako rzekomego, olbrzymiego Piemontu dla snów o przyszłej ekspansji „ukraińskiej“ potęgi na niezmierzone obszary wschodu.

Zresztą tendencja ta Rusinów małopolskich stała się w ostatnich latach tak widoczną, tak jaskrawą, że podpaść musiałaby każdemu obserwatorowi, a zwłaszcza każdemu mężowi stanu.

A takiemu eksperymentowi zaborczemu w obrębie granic swego państwa żaden rząd obojętnie przypatrywać się nie może. Sprawiedliwość, a nawet życzliwość wobec słusznych aspiracji danego odłamu mniejszości narodowej w kraju nie może rozciągać się aż do granic absolutnej tolerancji zaborczych zakusów tej mniejszości i tworzenia przez nią państwa w państwie, pokrywanego zręcznie ustawicznemi, rozgłośnemi skargami o różne drobiazgowe, często urojone „krzywdy". Bo istotnie, pod płaszczykiem tych wszystkich, niekończących się skarg i lamentów z powodu niezaspakajania natychmiast przez państwo poskie wszelkich publicznych i prywatnych skarg, pożądań i apetytów ruskich, nieraz nawet niemożliwych do załatwienia, bo dotykających właściwie ogólnej konjunktury światowej i powszechnego kryzysu — snują menerzy ukraińscy z Małopolski wschodniej cicho, a sprytnie pajęczą sieć ukrainizacji coraz dalszych obszarów. Robi się naumyślnie wiele hałasu o nic, puszcza się próbne balony skarg i żądań, w których realność sami menerzy ukraińscy często nie wierzą, a pod spodem prowadzi się całkiem inną, cichą, podstępną robotę, w której różne odłamy ukraińskie nie są zgodne co do natężenia metod i wzajemnie się nieraz o to kłócą i potępiają, ale wszystkie zgodne są co do głównego celu: stworzenia w Polsce jaknajwiększej faktycznej, choć narazie oczywiście nieoficjalnej „Ukrainy", skoro jej gdzieindziej tworzyć nie można.

Na to oczywiście żaden Polak obojętnie patrzeć nie może, oprócz chyba niepoprawnej garstki naiwnych ugodowców, którzy mimo tylu przeciwnych doświadczeń i tyle najlepszej krwi polskiej przelanej, wciąż jeszcze trwają w upornej wierze, że kłanianiem się Rusinowi, schlebia-

niem mu, dopomaganiem mu w hodowaniu jakiejś skombinowanej sztucznie historji ukraińskich ideałów zdołają zjednać ich dla polskiej idei państwowej i nakłonić do t. zw. zgodnego współżycia.

Naiwni, trzykroć naiwni! Przecież czego Rusin właśnie najbardziej nie cierpi i lekceważy, to właśnie owych sielankowych Polaczków, rzucających mu się w objęcia za wszelką cenę, nawet za cenę godności własnej i polskiego honoru narodowego. Wiemy doskonale, co myślą i mówią Rusini o takich polskich zapaleńcach, nie mających najmniejszego wyobrażenia o polityce i o głębszym sensie historji. Wiemy, jak śmieją się i drwią z naiwności tych dziwnych „polsko-ukraińskich" pisemek, które z nadmierną skwapliwością spowiadają się publicznie przed hajdamaką ukraińskim ze wszystkich prawdziwych i urojonych błędów polskiej polityki wschodniej, a ani jednem słówkiem nie wspominają o morzu krwi, okrucieństwach, pożogach i bestjalskiem niszczeniu wszystkiego co polskie, które Polska znosi od ruskiego żywiołu od kilku wieków bez przerwy, przy najmniejszej okazji, a często i bez okazji. I za to wszystko żądają Rusini małopolscy nietylko usłużnego spełnienia przez Polskę wszystkich ich narodowych, kulturalnych, gospodarczych i politycznych postulatów, jakgdyby z ich strony wszystko było w porządku, ale co więcej, żądają jakiegoś wprost uprzywilejowanego stanowiska w stosunku do innych obywateli Państwa: urzędnik Polak może być zredukowany, urzędnik Rusin nie, rolnik Polak może znosić ogólny kryzys, rolnik Rusin nie, instytucje i organizacje polskie mogą cierpieć na brak funduszów i subwencji, instytucje ruskie nie. Słowem polscy i inni obywatele muszą spokojnie poddać się ogólnoświatowej konjunkturze i różnym elementarnym niedomaganiom Państwa, ale Rusinów powinna pod tym względem Polska uprzywilejować, osłaniając ich tarczą opieki przed wszelkimi ciosami niepomyślnych konjunktur. Bo, gdy inne naro-

dy cierpią, to się nazywa powojennym kryzysem, gdy natomiast Rusina najmniejsze spotyka niepowodzenie, to już odrazu: krzywda!

Biorąc wszystko powyższe — którego lekceważyć nie wolno — pod rozwagę, dojść musimy do konkluzji, że głównym motywem, który uzbraja raz po raz dłoń hajdamackich zbrodniarzy, jest nietyle chęć zmuszenia Polaków terrorem do poddana się ruskim żądaniom, ile przedewszystkiem gładzenie z powierzchni ziemi ludzi, dla sprawy ruskiej dobrze usposobionych, oraz tych, którzy mają możność przejrzeć na wylot ową podziemną dążność ukrainizacji coraz dalszych obszarów Państwa i tej dążności w odpowiedni sposób starają się przeciwstawić. To też Ukrainizm nie godzi wcale w swych zdeklarowanych wrogów, jakim jest np. polska narodowa demokracja, która głosi, że Ukraińców zupełnie nie uznaje, że ich wogóle niema, a że niesfornych Rusinów małopolskich należy spolonizować, albo zniszczyć. Takiego stanowiska menerzy ukraińscy wcale się nie boją, przeciwnie, jest im to bardzo na rękę, bo dopomaga im to w wykazywaniu przed światem, jakich to wrogów mają w Polsce. Żadnego też dotąd, o ile mi wiadomo, endeka Ukraińcy z politycznych względów nie zamordowali. Czy to nie charakterystyczne i ciekawe? Natomiast mordują z reguły swych polskich przyjaciół, albo ludzi, którzy bronią Polskę przed inwazją ukraińską w kierunku Wilna, Lublina i Krakowa.

Zdaje się, szanowny czytelniku, że wypowiedziałem się dość wyraźnie. Głębiej w tę część tematu nie chcę wchodzić.

Pozostaje jeszcze tylko rzecz najważniejsza dla Redakcji i grona Przyjaciół „Naszej Przyszłości“: czy cała ta, zupełnie już zdewualowana taktyka Rusinów małopolskich, w której wszystkie stronnictwa ruskie za ręce się trzymają, oraz czy ta nikczemna zbrodnia, dokonana na prawdziwie dobrym i uczciwym człowieku, sądzącym spra-

wiedliwie i realnie kwestję polsko-ruską, mają wpłynąć w czemkolwiek na zmianę dotychczasowego kierunku „Naszej Przyszłości“ wobec Rusinów małopolskich?

Nic, a nic! Ani o jotę nie zmieniamy w tym względzie naszego punktu widzenia i programu. Przecież takie czy inne wyczyny zbrodniarzy, albo takie czy inne łobuzerje polityczne pewnych grup narodowościowych nie mogą wpływać na kierunek naszej akcji i polityki. Pióra współautorów naszego pisma, to nie chorągiewki na dachu, które lada podmuch obraca. Jeżeli domagamy się od Rządu, zgodnie zresztą z jego własnem oświadczeniem, żeby linja wytyczna ś. p. Ministra Pierackiego nie doznała zmiany, to tembardziej nie wypada i nam w czemkolwiek naszej wytycznej zmieniać. Nasz Przegląd polsko-ukraiński będzie wychodził i zajmował się żywo i zdecydowanie kwestją ukraińską w Polsce z państwowego i realnie ukraińskiego punktu widzenia, penetrując w głąb wszelkich odnośnych spraw i wszelkiej prawdy, bo to uważamy za słuszne. I dziesięć nowych mordów ukraińskich i sto spalonych w dalszym ciągu folwarków żadnego wpływu na to nie wywrze. Stanowisko nasze dla ogólnej sprawy ukraińskiej w Polsce jest i będzie przychylne, bo uważamy to za zgodne z interesem Państwa.

Ale piętnujemy przedewszystkiem tych polskich słabeuszów, którzy chcą à outrance odznaczyć się na polu „pionierstwa“ w pozyskaniu Rusinów małopolskich dla polskiej idei państwowej, tracą przy tem wszelki umiar, zdrowy rozsądek i godność własną, poniżając wobec hajdamaków honor i autorytet Państwa i przyczyniając się do rozzuchwalenia różnych perfidnych w ruskiem społeczeństwie działaczy. Rusini małopolscy muszą raz nareszcie zrozumieć, że mają do czynienia z państwem i narodem wprawdzie sprawiedliwym, a nawet ideowym — o czem świadczą choćby pensje inwalidzkie dla ruskich żołnierzy, którzy niedawno przeciw nam walczyli — ale z państwem

równocześnie i mocarstwowem, które oszukiwać się, podchodzić się nie da i łobuzerji politycznych tolerować nie będzie.

Odwiecznem nieszczęściem polskiej polityki wschodniej, które nas już raz drogo kosztowało i niemal zagładę naszego narodu sprowadziło, był karygodny, niewybaczalny brak decyzji w sprawie ruskiej. Na całym świecie nie znajdzie się chyba przykładu podobnie wiotkiego, chwiejnego, oportunistycznego żonglowania: raz niewieścia miękość, która tylko rozzuchwala, potem znów połowiczne represje, bez określonego i konsekwentnie realizowanego celu, które oczywiście tylko drażnią. Z tem raz trzeba skończyć, a przedewszystkiem polska prasa, nauka i piśmiennictwo w jeden zgodny ton powinny w sprawie ukraińskiej uderzyć, zamiast dawać hajdamakom komiczne przedstawienie kompletnej rozbieżności i gorszących sporów w tej sprawie i inscenizować przed nimi i dla nich głupie wyścigi o pozyskanie duszy ukraińskiej coraz to nowszym pomysłem. Tym systemem oczywiście żadnego Ukraińca się nie pozyska, a każdy z nich tylko kpić z nas będzie.

Mocno, jasno i lapidarnie winno każde żywotne państwo określać prawa i obowiązki swym obywatelom. Kto się na nie nie godzi, może zawsze wynieść się z danego państwa i przyjąć inne obywatelstwo. Temu Polska nigdy sprzeciwiać się nie będzie. Ale dopóki ktoś obywatelstwo polskie posiada, ten musi być w pełnym sensie obywatelem Rzeczypospolitej i żadnego politycznego uczucia ponad to stawiać mu nie wolno. Niech sobie prywatnie będzie jakiejbądź narodowości, czy nawet rasy i koloru skóry, niech modli się, jak chce i w życiu prywatnem i publicznem — za wyjątkiem urzędowego — jakim chce rozmawia językiem. Niech pielęgnuje sobie ideały i tradycje narodowe, jakie mu się żywnie podoba. To dla Państwa obojętne.

Ale czuć się musi prawym i łojalnym obywatelem Polski i z przekonaniem przed Polską salutować ma flagą.

To samo przecież mówimy naszym rodakom na obczyźnie. Pierwsi wymagamy od nich, aby byli lojalnymi obywatelami Francji, czy Ameryki, czy innego państwa, w którem obrali sobie stałą siedzibę. Pierwsi potępilibyśmy naszych tamtejszych rodaków, gdyby zaczęli spiskować przeciw państwu, do którego należą. Potępilibyśmy najostrzej nawet Polaków w państwie, dla sprawy polskiej naogół nieprzychylnem, gdyby ci Polacy zaczęli przeciw niemu spiskować, a cóż dopiero mordować, rzucać bomby i podpalać.

Nie idziemy w tym kierunku aż tak daleko, jak np. Francja — zresztą tak demokratyczna i liberalna — która jednak każdego swego obywatela, nawet kolorowego tubylca w swych kolonjach, uważa wprost za Francuza. Polak, posiadający obywatelstwo francuskie, jest nietylko citoyen français, ale wprost: un français. Naszą wielką rodaczkę, p. Curie-Skłodowską, traktowali Francuzi z racji jej małżeństwa zawsze jako Francuskę i głosili, że jej dzieło c'est une gloire de la science française, nie odmawiając jej przy tem polskiej narodowości i polskich uczuć patrjotycznych.

My, Polacy, tak daleko nie idziemy. Jesteśmy liberalniejsi od Francji. Nie nazywamy naszego Rusina Polakiem. Wystarczy nam, jeżeli Rusin za prawego obywatela Państwa polskiego będzie się uważał. Pragniemy, aby w zrozumieniu tego żądania i rzeczywistości swego położenia, zespolił się na tyle z ideą Państwa polskiego, które z racji swego położenia geograficznego i różnych warunków historycznych jest i było od prastarych czasów organizmem wielonarodowościowym, podniósł się na taki poziom kultury politycznej i obywatelskiej, żeby mógł twórczo i lojalnie współpracować w państwie na każdem stanowisku publicznem, nie budząc nieufności i nie stwarzając do-

koła siebie atmosfery podejrzeń, nienawiści i buntu. Poza-tem może być sobie Rusinem, ile tylko zechce i pielęgnować wszystkie swoje narodowe ideały.

Napróżno odgradzają się umiarkowane odłamy społeczeństwa ruskiego w Małopolsce wschodniej od zbrodniczych wyczynów terrorystycznych organizacji. Najpierw sieć tych organizacji ruskich jest tak szeroka i tak liczna w Polsce i zagranicą i tak z całem społeczeństwem ruskiem na jego dołach związana, że nieraz faktycznie niewiadomo, gdzie się względnie spokojny Rusin kończy, a terrorysta zaczyna. Powtóre, cała tendencja, mentalność, napięcie i prasa ruska w Małopolsce wschodniej są tego rodzaju, że muszą płodzić permanentną atmosferę spisku, terroru i zbrodni. I niech przy tem nie powołują się Rusini — jako na okoliczność, niby łagodzącą motywa tej zbrodni — na niby analogiczne spiski i zamachy wolnościowe, znane z historji innych narodów, dobijających się o niezależność państwową. Zamachy bowiem ruskich herojów wymierzane są — jedyny w swym rodzaju absurd w dziejach! — w ludzi uczciwych, przychylnych sprawie ruskiej. Niema to więc nic wspólnego z bohaterskiemi walkami podziemnemi o wolność, jakich przykłady znajdujemy istotnie w historji od czasów najstarożytniejszych. Dlatego wyczyny ruskich spiskowców to nie walka polityczna, ale proste, perfidne i nawet z punktu widzenia ruskich dążeń niepodległościowych bezmyślne zbrodnie.

Na tem stanowisku w sprawie ruskiej stoimy i żadne wypadki nie zmienią naszych wyżej skreślonych poglądów i przekonań. Jak sobie Rusini małopolscy pościelą, tak się wyśpią!

Konkluduję tę rzecz słowami ks. prałata Popławskiego, wypowiedzianemi w pięknem jego przemówieniu nad zwłokami ś. p. Ministra Pierackiego w kościele św. Krzyża w Warszawie: „Niecna to musiała być sprawa, co skrytobójcę do tego podłego popchnęła czynu“.

Tak — niecne są drogi ruskiej mentalności i taktyki narodowej... i nie od wczoraj dopiero.

Niepodobna mi przy tej smutnej okazji pominąć milczeniem dwóch jeszcze faktów, składających się na całokształt obrazu.

Najpierw zabójstwo dyrektora ruskiego gimnazjum we Lwowie, Jana Babija. Znowu trup porządnego człowieka, tym razem rdzennego Rusina, na „ukraińskiej drodze niepodległościowej". Zamordowano go dlatego, że był — porządnym człowiekiem i nie chciał poddać się terrorystycznej dyrektywie ruskiej organizacji wywrotowej. Chciał utrzymać gimnazjum swe w porządku, dla dobra sprawy ruskiej, aby istniało, kształciło młodzież, a uniknęło niebezpieczeństwa zamknięcia wrazie rozpasania się w niem żywiołów hajdamackich. Dlatego go zamordowano. Dalszy komentarz zbyteczny.

Drugi fakt, to obrzydliwe enuncjacje pewnych urzędowych i prasowych sfer czeskich po zabójstwie ś. p. Bronisława Pierackiego. To już rzecz zupełnie bezprzykładna w dzisiejszych międzynarodowych stosunkach, które zresztą przecież nie grzeszą i tak nadmiarem etyki i kurtuazji. Ale żeby głośno, ze strony oficjalnej, wyrażać niejako radość i aprobatę z powodu zabójstwa ministra w sąsiedniem państwie i żeby to się działo w środkowej, więc niby cywilizowanej Europie, tego w dziejach nowoczesnych, od czasów ustalenia pewnej dyplomatycznej kurtuazji, obowiązującej nawet w czasie wojny, nie pamiętamy. Nie łudziliśmy się nigdy, ani na chwilę, co do wartości „przyjaznych" uczuć „bratniego" narodu czeskiego. Pamiętamy dobrze rejestr niezbitych faktów i objawów „słowiańskiego braterstwa", poczynając od dziejów sybirskich legjonów, a kończąc na podstępnem zagrabieniu połowy Śląska Cieszyńskiego w chwili, gdy bolszewicy stali pod Warszawą. Ubolewamy tylko nad zaślepieniem tych naszych rodaków, którzy wciąż jeszcze wierzą w jakieś bra-

terstwa językowo-szczepowe i z filologji wyciągają najdziksze, najnienaturalniejsze i najniepraktyczniejsze wnioski i sympatje polityczne. Ubolewamy nad narkozą czechofilstwa, której podlega jeszcze dość wielu z naszych rodaków, a zwłaszcza tych, którzy z Czechami nie mieli na serjo nigdy do czynienia i ich po prostu nie znają.

Czesi są dla Polski pad każdym względem wrogo usposobieni, w polityce, dyplomacji, przemyśle, handlu, mentalności, etyce, zwyczajach i obyczajach — słowem we wszystkiem. Czech jest pod każdym względem antytezą Polaka, jakkolwiek umie, gdzie potrzeba, bardzo układnie, przymilnie, a chytrze zagrać nieuświadomionemu Polakowi z Wielkopolski lub Warszawy na słowiańskiej bałabajce, tak, jak umieli Prusacy zagrać żołnierzom wielkopolskim w bitwie pod Gravelotte „jeszcze Polska nie zginęła“. Czech jest w rodzinie słowiańskiej (o ile dzisiaj o rodzinach szczepowych wogóle można mówić) niewątpliwie przedstawicielem prusactwa. A wiadomo, że głupi ten, kto pracuje pour le roi de Prusse.

Rząd polski zrobił w ostatnich czasach niepospolite pociągnięcia, które raz i drugi były zdumiewającą niespodzianką nietylko dla zagranicy, ale i dla szerszych sfer społeczeństwa polskiego: nie wdając się w beznadziejną gmatwaninę genewską, rozerwał samodzielną taktyką polityczną grożące Polsce kleszcze rosyjsko-niemieckie, zawierając z obu potężnymi sąsiadami pakty o nieagresji i, co więcej, poprawne stosunki. Był to bez żadnej kwestji wielki czyn dyplomatyczny, który wysunął Polskę odrazu na jedno z naczelnych miejsc w polityce europejskiej, a z Warszawy zrobił jeden z najważniejszych ośrodków politycznych w Europie. W konsekwencji odwiedził Warszawę także p. Goebbels.

I to doprowadziło naszych najserdeczniejszych braci z nad Wełtawy do białej gorączki. Porozumienie polsko-niemieckie (chociaż dalekie z naszej strony od wszelkiego

germanofilstwa), uniezależnienie się w odpowiednim do stanowiska Polski stopniu od dyktanda Francji, której Praga dzięki p. Beneszowi i wpływom masońskim jest dotąd wasalem — tego nie mogła znieść sprytnie kombinująca Praga, która uważała się do niedawna za właściwą przewodniczkę polityki w Europie środkowo-wchodniej. Co będzie ze żmudnie wykombinowaną i narzuconą tejże połaci naszego kontynentu hegemonją czeską, jeżeli Polska porozumiała się z Rosją, a nawet z Niemcami? — pomyśleli z przerażeniem Czesi. Wszak jesteśmy okrążeni: Polska na czele tworzącej się unji bałtyckiej, w porozumieniu z Rosją i w przymierzu z Rumunją, coraz serdeczniejsze nawiązująca węzły z Węgrami, dalej Austrja, skąd „grozi" Czechom unja austro-węgierska lub Anschluss z Niemcami, wreszcie wyzwalająca się z pod więzów traktatowych potęga niemiecka — słowem, kompletne okrążenie. W tym kręgu była do niedawna przynajmniej jedna luka, którą wygrywać mogły Czechy: odwieczny antagonizm polsko-niemiecki. Ale obecnie i ta luka zamknęła się, Polacy odwrócili się od narzucanego im wciąż z Pragi słowianofilstwa, poszli po linji nie najmniejszego, ale właśnie największego oporu i prześcigają się z Niemcami w okazywaniu sobie nawzajem różnych grzeczności, kurtuazji, niekiedy niemal nawet „entuzjazmu". Orkiestry niemieckie grają „Jeszcze Polska" na przyjęciach delegacji polskich w Berlinie, że aż wszyscy Fryderykowie i Wilhelmowie przewracają się w swych grobach.

Rusza więc p. Benesz po ratunek do swych masońskich przyjaciół w Paryżu, pędzi przerażony p. Barthou do Warszawy, aby ratować zagrożoną czesko-francuską sytuację. Spotyka się w Warszawie oczywiście z czarującą grzecznością, pokazują mu Wawel i obdarzony wszelkiemi zapewnieniami o niezłomności francusko-polskiej, odwiecznej przyjaźni, pędzi do Bukaresztu, gdzie wygłasza z bismarkowską srogością tezy, że ani centymetra kwadratowe-

go ziemi siedmiogrodzkiej nie pozwoli oddać Węgrom. On nie pozwoli!

A tymczasem Czesi — wytrąceni widocznie z równowagi nerwowej i zapomniawszy całkiem o wspólności filologiczno-słowiańskiej z Polakami — wyruszają na srogą krucjatę przeciw Polakom. Prześladuje się Polaków śląsko-morawskich, aresztuje się zapraszanych na odczyty polskich literatów, a wkońcu w nieprzyzwoity sposób plwa się na pamięć zamordowanego polskiego ministra.

A w tem wszystkiem, w całej tej czeskiej furji, gra rolę oczywiście złe sumienie, gdyż Praga to utrzymywała przez długie lata — i bodaj, że jeszcze utrzymuje — jedno z najzaciętszych ognisk konspiracji ukraińskiej przeciw Polsce, a przez swą Ruś Zakarpacką dąży do podania ręki jakimkolwiek wrogim Polsce zakusom „wschodniej słowiańszczyzny", ukraińskim, czy rosyjskim. Teraz wszystko to nagle się przerwało, ukraińcy wpadli w szał niepolityczny i niepoczytalny wogóle, który kompromituje ich czeskich przyjaciół, a coraz bliższe stosunki polsko-sowieckie usuwają całkiem na bok subtelności dyplomatyczne p. Benesza i jego praskich współpracowników. A w dodatku jeszcze Goebbels, witany przez polskiego Ministra Spraw Wewnętrznych na polu Mokotowskiem!

Dlatego stracili Czesi zdrowy rozsądek, poczucie przyzwoitości dyplomatycznej i czeskie szydło wyszło z ich słowiańskiego worka.

Oto właściwe, głębsze tło, na pierwszym planie ruskie, na dalszym czeskie, na którem rozegrała się w czerwcu tragedja Foksalu. Najgłębszym jej powodem jest samodzielność i mocarstwowość polskiej polityki państwowej, której reprezentantem nazewnątrz kraju jest Minister Beck, a której konsekwentnym, głęboko myślącym i daleko przewidującym kierownikiem wewnątrz państwa był ś. p. Minister Pieracki. Z tego wszystkiego wynika jednak jasno, jak na dłoni, że Polska powinna niewzruszenie kontynuo-

wać tę politykę silnej, konsekwentnej i niezależnej ręki z lat ostatnich, która bezsilny gniew jej istotnych wrogów wywołuje i demaskuje i która zarazem podnosi wysoko jej autorytet i stwarza państwu granitowe podwaliny, takie, jakich Rzeczypospolita nasza, mówiąc bez żadnej przesady — od czasów jagiellońskich nie pamięta.

I to będzie zarazem najlepszem, prawdziwie patrjotycznem uczczeniem pamięci tragicznie zmarłego Męża stanu, daleko lepszem i trwalszem, niż wszelkie marmurowe, czy śpiżowe pomniki.

Jan Bobrzyński

SPRAWA NARODOWOŚCIOWA A SPRAWA JĘZYKA.

Wiek XVIII pozostawił po sobie zachwiany skutkiem wielkiej rewolucji francuskiej autorytet religijny i autorytet polityczny; w tej atmosferze zachwianego autorytetu dokonywały się w ciągu XIX w. wielkie przeobrażenia techniczne (zastosowanie pary, elektryczności i t. d.), oraz wielkie przeobrażenia gospodarcze (powstanie wielkiego przemysłu, rozwój kapitalizmu), pociągające za sobą również doniosłe przemiany ustroju społecznego. Rozwój kapitalizmu i rozwój wielkiego przemysłu postawiły na porządku dziennym sprawę zapewnienia potrzebnej ilości surowców dla przemysłu oraz sprawę pozyskania pola zbytu dla wyrobów przemysłowych: stąd wynikła żywa ekspansja kolonjalna poszczególnych państw europejskich oraz dążenie, aby nawet niepodbitym państwom pozaeuropejskim ponarzucać traktaty handlowe, dla nich niekorzystne, zamieniające ich kraj w pole zbytu dla przemysłu europejskiego. Polityka ta wywołała — jak wiadomo — w Azji, a nawet w niektórych państwach Afryki, np. w Egipcie, silną reakcję, zwróconą przeciwko przewadze Europejczyków.

Obok tych czynników występuje silnie w ciągu XIX wieku inny jeszcze czynnik, którego wpływ niejednokrotnie przeciwdziała wpływowi poprzednio wymienionych czynników, mianowicie: kwestja narodowościowa. Rozwój ekonomiczny, a zwłaszcza rozwój wielkiego przemysłu dążył do stworzenia wielkich kompleksów terytorjalnych, gospodarczo się uzupełniających, a przytem nosił charakter wybitnie kosmopolityczny; aspiracje zaś narodowościowe do tego zmierzały, aby każdy naród miał swe odrębne państwo, co musiało doprowadzić do rozbicia państw,

zamieszkałych wprawdzie przez ludność, mówiącą różnymi językami, ale gospodarczo doskonale zorganizowanych (np. Węgry i t. d.), a w dodatku w miejsce jednego państwa, nie mogącego występować agresywnie na terenie międzynarodowym, powstał szereg nowych, drobnych państewek, stale z sobą powaśnionych i stanowiących skutkiem tego zarzewie konfliktów międzynarodowych (t. zw. bałkanizacja); w innych zaś państwach dążenia te musiały wywołać irrydentę (np. irrydentę bretońską we Francji, flamandzką w Belgji i t. d.). Co więcej, bardzo wiele ziem zamieszkałych było przez ludność mieszaną pod względem narodowościowym i bardzo często różnica językowa pokrywała się na tych terytorjach z różnicą klas społecznych (np. w Kurlandji, części Inflant i Estonji ziemiaństwo i miasta były niemieckie, inne klasy ludności łotewskie lub estońskie i t. p.); w tych warunkach ruch narodowościowy przybierał zarazem charakter ruchu socjalnego. Ruch narodowościowy przeniesiony został wreszcie poza granice Europy, do Azji i Afryki, za pośrednictwem młodzieży z tych krajów, która studjowała w uniwersytetach europejskich i tam staje się zarzewiem ruchu, wrogiego Europie. Ruch narodowościowy występuje z taką siłą, że budzi pragnienie własnego państwa nawet wśród narodów, które mieszkały rozprószone wśród innych narodów i — jak się zdawało — myśli o własnem państwie dawno już się wyrzekły, np. wśród żydów. Pozatem wiele ziem było zamieszkałych przez ludność narodowościowo, a raczej językowo mieszaną, więc trudno było poprowadzić linję graniczną tak, aby państwo nowoutworzone obejmowało ludność narodowo jednolitą; a niejednokrotnie znowu względy ekonomiczne (sprawa dostępu do morza lub do rzeki, uznanej za międzynarodową, sprawa militarnego zabezpieczenia stolicy i t. d.) zmuszały do pociągnięcia granicy państwa w ten sposób, że włączone doń zostało terytorjum, zamieszkałe przez ludność, mówiącą innym językiem, a wobec rozbudzonego

ruchu narodowościowego ludność, mówiąca innym językiem, stanowi niebezpieczeństwo irrydenty politycznej; aby niebezpieczeństwu irrydenty zapobiec, rozpoczęto pracę nad wynarodowieniem tych mniejszości narodowych (czy też językowych), a praca ta, a raczej prześladowanie mniejszości narodowych (czy też językowych, ohydą swoją nie ustępuje prześladowaniom religijnym XVIII w. i to tem bardziej, że wobec wzmożonego obecnie etatyzmu zależność gospodarcza jednostki od państwa jest tak wielka, jak nigdy nie była dotychczas, ani w czasach średniowiecznych, ani nowożytnych; całą zaś tę zależność jednostki niektóre państwa dziś wyzyskują dla wynarodowienia mniejszości językowych.

Ten stan rzeczy musi wywołać duży niepokój w duszy Polaka wobec tego, że Polska przez 100 lat z górą walczyła o niepodległość swoją i wobec tego, że prawie w każdej polskiej rodzinie czczoną jest pamięć przodków, którzy brali udział w walkach o niepodległość Ojczyzny. Powyższa okoliczność usprawiedliwia mój zamiar poddania historycznej analizie ruchów narodowościowych Europy w ciągu XIX wieku, a w szczególności zbadania, czy sama idea narodowości w ciągu tego czasu nie uległa zmianie i czy ta zmiana nie jest przyczyną destrukcyjnych skutków, przez tę ideę obecnie zrządzanych.

I. Już kongres wiedeński — jak wiadomo — miał do załatwienia trzy kwestje narodowościowe, włoską, polską, niemiecką i wszystkie trzy załatwił połowicznie, co stało się źródłem długotrwałych fermentów politycznych, a nawet kilkakrotnych wojen. Zjednoczenie Niemiec (bez Austrji) nastąpiło skutkiem dwóch wojen, austrjacko-pruskiej z r. 1866 i niemiecko-francuskiej z r. 1870/71; a niezałatwienie sprawy austrjackiej jest dziś jeszcze źródłem trudności międzynarodowych, których ostateczne konsekwencje wobec grożących powikłań przewidzieć się nie dadzą. Zjednoczenie Włoch okupione zostało wojnami z lat

1859 i 1866. Walki Polaków o odzyskanie niepodległości ciągnęły się zgórą przez lat 100; udział Polaków w każdej kombinacji politycznej, skierowanej przeciwko państwom zaborczym, tłumaczy wiele wypadków, napozór niespodzianych, np. tryumfy włoskie Napoleona, odniesione przy pomocy świeżej, niewyrobionej armji, a w istocie przy pomocy świetnego, bardzo inteligentnego (szlachty) i pełnego zapału żołnierza polskiego (legjony), któremu dotychczas wodza brakowało, aby jego wartości militarne mogły pełnym blaskiem zajaśnieć. Obok tego wspólny interes zwalczania polskich aspiracji politycznych scementował dość nienaturalny sojusz prusko-rosyjski, który na historji drugiej połowy XIX wieku wycisnął swe piętno i trwał aż do wielkiej wojny.

Wszystkie wyżej wymienione problemy narodowościowe, polski, włoski, niemiecki, nosiły zasadniczo odmienny charakter od problemów narodowościowych, stojących dzisiaj na porządku dziennym. Niemcy, które dążyły do zjednoczenia politycznego w ciągu XIX wieku, nie były jednością językową; pomimo istnienia wspólnego literackiego języka niemieckiego, stworzonego przez Lutra, zachowały się liczne djalekty, a z pomiędzy nich djalekty północno-niemieckie są — jak wiadomo — językowo bardziej zbliżone do języków północnogermańskich, niż do djalektów południowo-niemieckich; ponadto dążeniami do zjednoczenia narodowego niemieckiego w ciągu XIX wieku nie była objęta Szwajcarja, której ludność niemiecka stanowi część plemienia szwabskiego (zamieszkującego Würtemberg i Baden) i t. d. We Włoszech różnica djalektów jest tak znaczną, że niejednokrotnie Włoch z północy z trudnością rozumie Włocha z południa, djalektów w potocznym języku używa nietylko lud prosty, lecz i warstwa inteligentna, a np. różnica między narzeczem liguryjskiem a językiem literackim włoskim jest tak znaczna, że w powieściach włoskich spotyka się w uwagach pod tekstem tłumaczenia

słów, wypowiedzianych przez bohaterów powieści, pochodzących z Ligurji i t. d. Podobnie ta Polska, która przez cały wiek XIX walczyła o zjednoczenie i niepodległość, nie była językowo jednolitą; na wielkich połaciach ziemi lud prosty mówił po żmudzku, litewsku, gdzieindziej znowu nietylko lud prosty, lecz nawet szlachta drobna i średnia mówiła różnymi djalektami, białoruskim i południowo-ruskimi („ukraińskimi“), nie mówiąc już o silnym separatyźmie dzielnicowym, istniejącym u Litwinów (t. j. Polaków, pochodzących z ziem dawnego W. X. Litewskiego) w stosunku do Koroniarzy.

Pomimo tych różnic językowych zarówno we Włoszech, w Polsce, w Niemczech był jakiś czynnik, który te masy ludności, mówiące różnymi językami, spajał w jedną całość polityczną i czynił z nich obywateli jednej, wspólnej im Ojczyzny. Tym czynnikiem było poczucie politycznej łączności, zwane patrjotyzmem włoskim, polskim, czy niemieckim, a wytworzone wspólną tradycją historyczną i poczuciem wspólności kulturalnej. Jedności narodowej Włoch — tak pojętej, jak to powyżej przedstawiono — trudno się dopatrzeć jeszcze w XV wieku; wymownem jest, że na płycie grobowej Kallimacha, znajdującej się w kościele O.O. Dominikanów (św. Trójcy) w Krakowie, czytamy słowa „natione Tuscus“ (t. j. „z narodowości Toskańczyk“ — nie zaś Włoch). Poczucie jedności narodowej we Włoszech rodzi się dopiero z programem Papieża Juljusza II „Fuori i barbari“. Słowa te nie były hasłem, lecz programem politycznym wyzwolenia Italji z pod wpływów obcych (hiszpańskich, francuskich) i stworzenia wspólnego frontu państewek włoskich przeciwko obcym najeźdzcom. Do tem silniejszego poczucia łączności politycznej przyczyniło się przekonanie, że Włosi, bez względu na swą przynależność do tego lub owego państewka włoskiego, są spadkobiercami politycznymi starożytnego Rzymu, że walka z cudzoziemcami z poza

Alp jest walką o wyswobodzenie kolebki państwa rzymskiego, t. j. Italji, od obcego panowania i że podobnie—jak niegdyś Rzym politycznie nad całym światem zapanował—tak Italja swem prawem (rzymskiem) i swą cywilizacją reszcie świata przoduje. Losy historji nie sprzyjały tym aspiracjom politycznym, ale przecież po ciężkich niepowodzeniach w ciągu XVII, XVIII i pierwszej połowy XIX wieku doczekały się one swej realizacji.

Podobnie i w Niemczech dość późno wytwarza się poczucie narodowości. Wieki średnie—jak wiadomo—znały patrjotyzm ogólno-chrześcijański w stosunku do res publica christiana i patrjotyzm ściśle lokalny w stosunku do korporacji, miasta, oraz przywiązanie od dynasty terytorjalnego; nieznały jeszcze natomiast wieki średnie patrjotzymu ogólno-państwowego. Tak było między innemi i w Niemczech. Pomimo istnienia „świętego państwa rzymskiego narodu niemieckiego“, nie spotykamy w Niemczech jednolitości narodowej i ogólno-niemieckiego patrjotyzmu ani w czasie wojny trzydziestoletniej, gdy poszczególni książęta niemieccy bez żadnych skrupułów łączyli się z obcymi monarchami (królem francuskim, szwedzkim i t. p.) przeciw własnemu cesarzowi, ani też jeszcze później, w czasie wojny siedmioletniej, gdy w toku walk między Prusami a Austrją każda ze stron walczących szuka pomocy zagranicą Niemiec (we Francji, Rosji i t. d.), ani też nawet u Goethe'go, który w Fauście drwiąco się pyta: „O święte rzymskie państwo, jakim ty cudem trzymasz się jeszcze?“ Patrjotyzm ogólnoniemiecki, a razem z nim i poczucie jednolitej narodowości niemieckiej wytwarza się dopiero w czasie wojen napoleońskich, gdy Niemcy czują się bezsilne wobec Francji i Napoleona i gdy popadają w zależność od niego. Wytworzony w toku wojen napoleońskich patrjotyzm ogólnoniemiecki i oparte na nim poczucie narodowe ogólnoniemieckie okazuje swą siłę w ciągu wieku XIX, a zwłaszcza bardzo silnie występuje w roku 1879/71, kiedy Austrja,

pokonana przez Prusy, nie wyzyskuje wojny francusko-pruskiej dla uzyskania odwetu na Prusach za rok 1866.

Podobnie poczucie narodowe ogólnopolske i patrjotyzm ogólnopolski jest rezultatem długiego historycznego (politycznego, religijnego i kulturalnego) rozwoju. Kraje, które w myśl idei politycznej Władysława Łakietka i Kazimierza Wielkiego, zwanej Jagiellońską (a zrealizowanej następnie przez magnatów małopolskich, wykonawców testamentu politycznego Kazimierza Weilkiego pod egidą dynastji Jagiellonów), miały wejść w skład t. zw. później „Rzeczypospolitej obojga narodów“, stanowiły pierwotnie blok krajów, zamieszkałych przez ludność, mówiącą rozmaitymi językami(różnymi djalektami języków polskiego, litewskiego, ruskiego i t. d.), wyznających częściowo wiarę rzymsko-katolicką, częściowo schizmatycką i przenikniętych częściowo cywilizacją zachodnio-europejską, łacińską, częściowo bizantyńską; a nie należy przytem zapominać, że w skład tego bloku — w myśl programu Łokietka i Kazimierza Wielkiego — miały wejść także Węgry ze swą językowo tak różnorodną ludnością. Te tak różnorodne elementy związane były celem utrzymania swej samodzielności politycznej i celem wspólnej obrony przed zagrażającemi im wspólnemi niebezpieczeństwami, mianowicie przed ekspansją niemiecką (Krzyżacy, Luksemburgowie), oraz tatarską, a do tych, wyżej wymienionych niebezpieczeństw przyłączają się następnie inne, nowe, które ten blok jeszcze silniej z sobą łączą, mianowicie niebezpieczeństwo moskiewskie i tureckie. Korzystnym dla państwowości polskiej wypadkiem był upadek Konstantynopola i państwa bizantyńskiego. Skutkiem tego bowiem wyschło to źródło starej, wysokiej, choć niejednokrotnie zdegenerowanej kultury bizantyńskiej, pod której wpływem pozostawała nietylko Ruś, lecz także Litwa (językiem urzędowym W. X. Litewskiego był jeden z djalektów białoruskich, w Statucie Litewskim I widoczne są wpływy bizantyńskie, nie-

którzy bracia Jagiełły przyjęli chrzest schizmatycki i t. d.), a działo się to właśnie wówczas, gdy na Zachodzie budzi się nowe życie umysłowe, rozkwita kultura odrodzenia, w sferze religijnej porywa umysły reformacja, a następnie kontrreformacja i t. d. Ziemie Wschodnie, opanowane dotychczas przez cywilizację bizantyńską, miały przed sobą jedno tylko dostępne źródło cywilizacji, t. j. cywilizację zachodnio-europejską, łacińską. Brzmi to niezmiernie paradoksalnie, a jednak jest najsilniejszą prawdą historyczną, że Ziemie Wschodnie spolonizował kierowany przez kosmopolityczny zakon O.O. Jezuitów Uniwersytet Wileński, w którym niejednokrotnie cudzoziemcy (np. Włosi, Hiszpanie i t. d.) wykładali nie po polsku, lecz po łacinie i że reformacja, zyskująca wielu adeptów wśród schizmatyków, torowała drogę religji rzymsko-katolickiej, na którą się następnie wielu protestantów na Litwie i Rusi nawracało. Bojarzy litewskoruscy, przypuszczeni przez polską szlachtę do herbów na sejmie w Horodle w r. 1413, starają się pozyskać przywileje stanowe na wzór szlachty polskiej i tą drogą następuje n a i c h p r o ś b y recepcja prawa publicznego polskiego w W. X. Litewskiem.

Tutaj nasuwa się nam interesujące zestawienie. Otóż z jednej strony wpływy religji rzymsko-katolickiej i cywilizacji zachodniej łacińskiej, a z drugiej strony wpływy religji schizmatyckiej i cywilizacji bizantyńskiej rozbiły jednolite plemię serbskokroackie na dwa narody, a znowu zwycięstwo cywilizacji zachodniej łacińskiej nad bizantyńską oraz zwycięstwo kościoła katolickiego (rzymsko-katolickiego oraz unickiego) nad schizmą na Ziemiach Wschodnich zbliżyło do siebie Polaków i Rusinów; w dodatku położenie Państwa Polskiego na granicach świata katolickiego i zachodniego, konieczność obrony i własnych granic państwowych i obrony wiary katolickiej przez zaborczością Rosji i Turcji wiąże wszystkich obywateli Państwa Polskiego (bez względu na ich język ojczysty)

przekonaniem o przeznaczonej im przez Opatrzność misji obrony chrześcijaństwa. Tak wytwarza się typ, określany słowami „gentre Ruthenus, natione Polonus“. O unifikację językową nikt się wówczas nie troszczył, językiem urzędowym W. X. Litewskiego był długo jeszcze jeden z djalektów białoruskich i to wówczas, gdy strony, stające przed aktami, oświadczenia swe składały w języku polskim, nie zaś białoruskim; znany Mikołaj Potocki, starosta Kaniowski, sam konfederat barski, używał języka ruskiego w życiu potocznem i t. d. a jeszcze później, w XIX wieku, ks. Roman Sanguszko, żołnierz z r. 1831, lubiał dumki ukraińskie; żyjący zaś na dworze Sanguszków Tymofiej Padura, poeta ruski, zarazem szlachcic polski, ułożył pieśń, w której następowały po sobie jedna zwrotka po polsku na nutę krakowiaka, a druga zwrotka po rusku na nutę dumki ukraińskiej. Język polski, jeżeli się rozszerzał w wieku XVII i XVIII i wypierał inne języki, np. język ruski, to wypierał je nie jako język państwowy, lecz jako język kulturalny, zupełnie podobnie, jak to później w wieku XVIII i z początkiem XIX wieku znowu język francuski na tych ziemiach wśród warstwy kulturalnej rozszerzył się do tego stopnia jako język kulturalny, że groził wyparciem języka polskiego i że wiele osób już po polsku zapominało. Co więcej, język polski w wieku XVII, jako język kulturalny, rozszerza się nawet poza wschodniemi granicami Polski, mianowicie w Rosji (ob. Brückner, Historja literatury rosyjskiej). Dopiero po upadku Państwa Polskiego język polski staje się symbolem Państwowości Polskiej w oczach ludności, ożywionej gorącem pragnieniem odbudowania utraconej Ojczyzny, bez względu na jej pochodzenie rdzennie polskie, białoruskie, czerwonoruskie, litewskie, a do tej przemiany przyczynia się jeszcze w wysokim stopniu prześladowanie języka polskiego przez rządy zaborcze.

Z zestawienia powyższego wynika, że idee narodowościowe dawnego typu, t. j. te, które były już skrystalizowa-

ne w chwili kongresu wiedeńskiego, t. j. polska, włoska, niemiecka, miały charakter zasadniczo odmienny od nowszych, późniejszych problemów narodowościowych.

Odmienny już nieco charakter mają ruchy narodowe Słowian południowych (Bułgarów, Serbów), oraz Greków, walczących o wyzwolenie z pod panowania tureckiego. Narody te miały tradycje własnej państwowości, utraconej skutkiem podboju przez Turków i miały silny patrjotyzm, podtrzymywany przez poczucie odrębności religijnej, ale pozbawione były warstw kulturalnych; szlachta bowiem serbska i bułgarska albo przyjęła mahometanizm i temsamem (nie porzucając rodzinnego języka i obyczaju) zerwała z własnym narodem, albo została zepchnięta do rzędu „raji“, t. j. prawnie upośledzonej ludności nie mahometańskiej; rolę stróża tradycji politycznej objęło w tych społeczeństwach, niejako zastępczo, duchowieństwo schizmatyckie. To też ruch narodowy w tych społeczeństwach musiał przybrać zarazem charakter ruchu socjalnego, zwróconego przeciwko wyższym klasom społecznym. Jako konserwatyści zdajemy sobie doskonale sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw, któremi grozi każdy ruch socjalny, mianowicie z zachwiania poczucia prawa i porządku prawnego, oraz ze zniszczenia wielu wartości kulturalnych, które dopiero powoli odbudowywać musi stopniowo się wytwarzająca nowa warstwa kulturalna. Wszystkie te trudności możemy dokładnie obserwować w historji nowego państwa serbskiego, bułgarskiego i t. d. i na pdstawie tej obserwacji możemy stwierdzić, że warunkiem ich powstania był nietylko rozkład wewnętrzny państwa ottomańskiego, ale i pomoc zewnętrzna (Austrji, Rosji), oraz długotrwała rywalizacja obu tych mocarstw o wpływy i panowanie na półwyspie bałkańskim, niepozwalająca żadnemu z tych mocarstw na opanowanie Bałkanu. Ten okres czasu pozwolił nowym państwom na wewnętrzne skonsolidowanie i opanowanie trudności zorganizowania nowej państwowo-

ści, tudzież wytworzenie nowej własnej warstwy kulturalnej do tego stopnia, iż dziś odporność ich i żywotność nie jest mniejszą od odporności i żywotności innego przeciętnego państwa. Przykład ten dowodzi, jak bardzo komplikuje i utrudnia sytuację polityczną przewrót socjalny nawet wówczas, gdy towarzyszy on przywróceniu państwowości, opartej na tradycjach historycznych.

II. Zupełnie natomiast inny charaketr mają ruchy narodowościowe ostatniej doby, a różnica jest tak znaczna, że obejmowanie w jedno tych ruchów oraz ruchów narodowości historycznych, poprzednio przedstawionych, jest zasadniczo mylnem; raczej należałoby t. zw. ruchy narodowościowe ostatniej doby nazywać ruchami językowymi, a nie narodowymi. W istocie rozchodzi się tutaj o dążenia każdej poszczególnej grupy etnicznej, mówiącej odrębnem narzeczem, do stworzenia samodzielnego państwa. Przyczyny takiego zasadniczego przeobrażenia mogą być różnorodne i między innemi przyczyną może być demokratyzacja, przyznająca decydującą rolę polityczną masom, którym obce są tradycje polityczne, a które rozumieją tylko jedno, t. j. nieufność do ludzi, mówiących innym językiem, jako do obcych, a nie potrzeba dodawać, że taką nieufność może obca ręka (wpływ zagranicy) bardzo łatwo rozbudzić środkami demagogiczymi nawet tam, gdzie takiej nieufności dotychczas nie było. Tego rodzaju ruch narodowy łączy się bardzo często z ruchem socjalnym, gdyż istnieją niejednokrotnie grupy etniczne, pozbawione warstw kulturalnych: i dlatego dążenie ich do stworzenia samodzielnego państwa musi się łączyć z dążeniem do przełamania przewagi ekonomicznej, kulturalnej i politycznej ludności, zamieszkującej to samo terytorjum, a mówiącej innym językiem, a do t. zw. rozbudzenia świadomości narodowej używa się wówczas w wyższym stopniu haseł przewrotowych socjalnych, niż haseł miłości ojczyzny; zresztą trudno mówić o miłości Ojczyzny, która bez przeszłości historycznej, bez poczucia

łączności politycznej, wywołanego odparciem wspólnych niebezpieczeństw i bez własnej, odrębnej kultury, jest czemś abstrakcyjnem, niezdolnem porwać ludzi. Zbytecznem jest tutaj przypominać wszystkie ujemne, a nieuniknione następstwa wstrząśnienia socjalnego. Dążenie pewnej grupy etniczej, mówiącej odrębnym językiem, do wykrojenia sobie własnego państwa burzy i rozbija państwa, które stanowiły gospodarcze całości, wywołując tem samem we wszystkich państwach, nowopowstałych z takiego podziału, poważne trudności gospodarcze; życie gospodarcze t. zw. państw sukcesyjnych, t. j. państw, powstałych z podziału monarchji austrowęgierskiej, jest tego wymownym przykładem. Wykrojenie państwa jednolitego językowo jest niejednokrotnie bardzo trudne z powodu zmieszania z sobą na pewnych przestrzeniach ludności różnojęzycznej; ponadto względy gospodarcze (sprawa dostępu do morza i t. d.), lub względy strategiczne domagają się niekiedy — jak to poprzednio zaznaczyłem — włączenia do państwa terytorjów, zamieszkałych przez ludność różnojęzyczną, a dążenie do językowego zjednoczenia (zwanego zjednoczeniem narodowem) państwa daje powód do brutalnego prześladowania mniejszości narodowych. Ponieważ żyjemy w epoce, przenikniętej materjalizmem i ponieważ dzisiejsze prądy etatystyczne otwierają państwu niesłychanie szerokie pole do ingerencji w sprawach gospodarczych, więc sztucznie wychodowane dążenia narodowościowe zwracają się w tym kierunku, aby wszystkie korzyści, które obywatelom może dać ingerencja władzy państwowej w dziedzinie gospodarczej, przypadły wyłącznie ludności, mówiącej językiem państwowym, a wszystkie niekorzyści, które ingerencja władzy państwowej w sferze gospodarczej przynieść może, spadły na ludność, mówiącą odrębnym językiem. Jakie to źródło korupcji i deprawacji politycznej, dodawać nie potrzeba. W imię tego fetyszyzmu językowego (zwanego mylnie dążeniem narodo-

wem) połączono z sobą w jedno państwo dwa odrębne narody, serbski i kroacki, oddzielone od siebie odrębną historją, religją i cywilizacją, co musiało wywołać bardzo wiele trudności wewnętrznych w utworzonem w ten sposób państwie Jugosłowiańskiem; w imię tego samego fetyszyzmu dla języka rozbito lub zagrożono rozbiciem organizacjom politycznym, które przetrzymały próbę wieków i dziś jeszcze związane są silną wspólnością interesów politycznych i gospodarczych.

Tym fetyszyzmem języka, zatruwającym dziś stosunki polityczne, tłumaczy się między innemi fakt separatyzmu bretońskiego w stosunku do Francji, chociaż Bretończycy tak długo okazywali wierność swej ojczyźnie francuskiej i chociaż w jednym kościele bretońskim dziś jeszcze pokazują czaszkę, przebitą dwoma kulami, a jest to czaszka rybaka bretońskiego, który schwytany przez Anglików pod koniec XVIII wieku w czasie rewolucji francuskiej i zmuszony pod groźbą dwóch pistoletów, przyłożonych do jego głowy, aby wskazał drogę okrętowi angielskiemu do wybrzeży francuskich, okręt angielski na skały podwodne naprowadził i w ten sposób do jego zatonięcia się przyczynił. Zupełnie podobnie w r. 1863 ziemie kresowe Polski, zamieszkałe w znacznej części przez ludność, nie mówiącą polskim językiem (np. Żmudź i t. d.), wzięły żywy udział w powstaniu, a akty represji popowstaniowych wykazują liczny udział włościan Żmudzinów; w spisku Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, zwróconym przeciwko rządowi austrjackiemu w r. 1847, wzięło udział około kilkudziesięciu parochów ruskich unickich i t. d. Jakżesz odmiennie dzisiaj przedstawiają się stosunki..!

III. Nie ukrywając swego ujemnego sądu o fetyszyźmie języka i jego skutkach dla życia międzynarodowego oraz wewnętrznego państwowego, nie możemy zamykać oczu na to, że stoimy już wobec wielu faktów dokonanych, które odrobić się nie dadzą. Między innemi musimy stwier-

dzić, że sztuczna, ahistoryczna akcja „rozbudzania świadomości narodowej“ u każdej grupy etnicznej, mówiącej odrębnym językiem, a nawet djalektem, stworzyła szereg nowych narodów; polityk realny musi się liczyć z istnieniem tak powstałych narodów i życzyć sobie, aby one jak najprędzej skrystalizowały się w prawdziwe narody, nie różniące się zasadniczo od dawnych narodów historycznych, t. j. aby wytworzyły swe własne warstwy kulturalne, aby wśród tych warstw zrodziła się i dojrzała jak najprędzej myśl konserwatywna, będąca gwarancją równowagi, zarówno w polityce międzynarodowej, jako też i wewnętrznej i aby racją stanu ich ojczyzny stał się interes państwowy, wytworzony położeniem geograficznem ich państwa (geopolityka), a przestał być jednostronny szowinizm językowy, połączony z nienawiścią do wszystkich ludzi, mówiących innym językiem.

Nie możemy się jednak ograniczyć do uznania faktów dokonanych i łagodzenia ich niekorzystnych następstw; mojem zdaniem konieczny jest wspólny wysiłek dla zburzenia tego nowoczesnego fetyszyzmu języka w polityce. Wszyscy uznajemy, że język ojczysty powinien być każdemu człowiekowi drogim i że nie wolno nadużywać władzy państwowej dla odebrania pewnej ludności języka ojczystego, ale bezwarunkowo nie wolno wszczepiać w duszę ludzką nienawiści do innych ludzi dlatego, że mówią odmiennym, chociaż nieraz bardzo zbliżonym językiem. Warto również przypomnieć, że już w historji znajdziemy wiele instytucji, lepiej i trafniej do ochrony narodowości prowadzących od tych środków, które w dzisiejszej polityce są stosowane.

Trudno tutaj analizować wszystkie instytucje prawne, dzięki którym odrębności nietylko językowe poszczególnych ziem zostały uszanowane w sposób, dający się pogodzić nawet ze spoistością dzisiejszego państwa; wspomnę tylko, że np. w myśl niektórych przywilejów monarcha wi-

nien był urzędy ziemskie nadawać jedynie osobom, z dawien dawna w tej ziemi osiadłym; co więcej — niektóre ziemie miały prawo przedstawiania królowi kandydatów na urzędy i t. p. Warunkiem jednak przyznania takich praw musi być bezwzględne zaufanie do patrjotyzmu państwowego u ludności, takiemi prawami obdarzonej. Bezwarunkowo natomiast nie można przez dążność do tworzenia państw, zamieszkałych tylko przez ludność, mówiącą jednym językiem, burzyć istniejących organizacji państwowych, co musi pociągać za sobą wstrząsy polityczne i ekonomiczne, a temsamem zaostrzać dzisiejsze już i tak ciężkie przesilenie; przeciwnie, należy pamiętać o starej, ale dziś nieprzestarzałej idei rei publicae christianae, obejmującej wszystkie państwa, przeniknięte cywilizacją chrześcijańską, bo dziś tej cywilizacji chrześcijańskiej niejedno grozi niebezpieczeństwo, które tylko zgodą i wspólnem działaniem odwróconem być może.

Franciszek Bossowski

Pozwalamy sobie podnieść prawdziwie rewelacyjne znaczenie powyższego artykułu wybitnego uczonego z Wilna. A rewelacyjność ta leży nie tylko w specjalnem, naukowo-historycznem ujęciu przedmiotu, które to ujęcie każdemu, objektywnie myślącemu człowiekowi żywo przemówić musi do przekonania; leży także w tem, że autor tem swojem ujęciem sprawy narodowościowej umiał wydobyć i sformułować wyraźnie to uczucie historyczno-polityczne, które tkwi w każdym razie w podświadomości ludzi państwowo myślących.

Tak jest — autor ma zupełną rację: kwestje językowa z jednej, demagogja demokratyczna z drugiej, a wroga idei państwowości polskiej robota postronnych z trzeciej strony zdołały — korzystając z naszej niewoli — zatamować

organiczny proces konsolidacji ludów, zamieszkujących ziemie dawnej Rzeczypospolitej i pokrajać je na szachownicę językową. Ma rację szanowny autor, że ani język, ani początki historyczne danego szczepu, ani nawet pewne odrębności geograficzno-kulturalne, czy wyznaniowe, nie są kwestjami największego znaczenia w formowaniu się trwałych, zdolnych naprawdę do życia i do samoobrony organizmów polityczno-państwowych. Bo gdyby było inaczej, to przecież w każdym razie przynajmniej kontynent Europy, nie mówiąc już o innych częściach świata (np. Indje!), musiałby podzielić się w imię „absolutnej sprawiedliwości językowej" na setki — powtarzamy: setki — państewek językowo-narodowościowych, co byłoby politycznym, kulturalnym i przedewszystkiem gospodarczym absurdem i postawiłoby losy i byt każdego z tych państewek pod najoczywistszy znak zapytania każdej chwili.

Mówiąc jasno — i przenosząc się poza ścisłe ramy artykułu prof. Bossowskiego — skonstatować musimy objektywnie i chyba bezspornie, że rozbicie i wzajemnie wrogie do siebie nastawienie trzech głównych ludów, skonsolidowanych już bardzo znacznie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, jest wyłącznie dziełem konsekwentnej, a najperfidniejszej polityki zaborczej. Dali się na to wziąć całkowicie Rusini, a częściowo Litwini, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że ten Moskal, czy Niemiec, czy Austrjak, odrywając ich duchowo od Polski, zamykał im drogę do swobodnego spajania się z Polakami we wspólne, potężne, Polsko-rusko-litewskie państwo, w którem Polak, Rusin i Litwin byliby na równi gospodarzami o wspólnych interesach, wspólnem uczuciu patrjotycznem i stopionej w jedność tradycji, a natomiast mirażem skrajnej odrębności językowo-narodowościowej rzucał ich po kolei na pastwę kompletnego wynarodowienia, a narazie przynajmniej bardzo znacznego, liczebnego skurczenia.

Wszak, gdyby nie ta perfidna obca robota, na której

łep pośli całkowicie Rusini, a częściowo Litwini, to dzisiaj we Lwowie mówiłoby się dziesięć razy więcej po rusku, a w Wilnie dziesięć razy więcej po litewsku i nikt z Warszawy, Krakowa lub Poznania nie widziałby w tem nic nadzwyczajnego, ani nic groźnego dla egzystencji Rzeczypospolitej. Zamiast tego element ruski niszczeje w rękach moskiewskich, wysługuje się naiwnie obcym celom i tamuje swój rozwój kulturalny jałową walką z polskiem społeczeństwem, a element językowo-litewski dał się przez Moskali i Prusaków zredukować do granic ongiś starostwa żmudzkiego i zamiast współwładać w Wilnie i Warszawie, cieszy się wegetacją w małem państewku, wystawionem notabene na różnorodne apetyty postronne właśnie z powodu niewytłumaczalnego, nielogicznego, zabawnie wrogiego nastawienia do Państwa polskiego.

Gdyby to wszystko nie było koniec końcem smutne, to możnaby zapatrywać się z pewnym tragihumorem na oba te narodowo polityczne i kulturalne samobójstwa. Ale niestety przykry to widok odłamów społecznych, które dążą w zaślepieniu i w izolacji do coraz większego liczebnego i kulturalnego zaniku, wybierają raczej oddanie się pod komendę swym oczywistym wrogom lub jakimś zimno-obojętnym kontrahentom, niż zawrócenie z tej całkiem fałszywej drogi i współpracę w organiźmie państwowym, w którym bardzo poważne mogłyby uzyskać korzyści i stanowisko.

Trzeźwa, krytyczna refleksja historyczna i polityczna winna nasunąć tak Litwinom, jak i Rusinom konieczność rozumnej rewizji dotychczasowych poglądów na całe zagadnienie narodowościowe w ogóle.

Redakcja

ŁEMKOWSZCZYZNA.

Ostatnio uwaga naszego społeczeństwa zwrócona jest na Łemkowszczyznę, która otrzymała biskupstwo. Dekretem św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego z dn. 10 lutego r. b. „Quo aptius consuleret“ utworzył Ojciec św. administrację apostolską, wyodrębniając ją z djecezji przemyskiej i uzależniając bezpośrednio od Stolicy św.

Administracja ma obejmować 9 dekanatów: bukowski, gorlicki, grzybowski, dynowski, duklański, krośnieński, muszyński, rymanowski i sanocki (na ogólną liczbę 54 dekanatów w djecezji) z 121 parafjami (na ogólną liczbę 759) i 128.000 wiernych (na 1.244.000 w djec. przemyskiej).

Utworzenie tej administracji dokonało się po wzajemnem porozumieniu Stolicy św. z rządem Rzeczypospolitej. Na siedzibę Administratora wyznaczone zostało miasto Rymanów, niestety nie posiadające cerkwi.

Na biskupa mianowany został O. Mikołaj Nagorjański, prałat i szambelan Jego Świętobliwości, odznaczony krzyżem „Pro Ecclesia et Pontifice“, dziekan wojskowych kapelanów obrządku greko-kat. Liczy lat 55, od 27 jest kapłanem, w wojsku jest od r. 1920.

Wprowadzenie w życie dekretu napotyka jednak na pewne trudności. Przedewszystkiem należy do nich brak w siedzibie biskupa, Rymanowie, cerkwi unickiej, dalej bardzo skomplikowane stosunki na Łemkowszczyźnie, która jest terenem bardzo różnorodnych i wzajemnie się zwalczających wpływów kościelnych i społeczno-politycznych. Nic więc dziwnego, że dotąd nie nastąpiła jeszcze prekonizacja X. Nagorjańskiego, przeciwnie, słychać o jego rzekomej rezygnacji, a prasa wymienia nawet ewentualnych jego następców.

Tak czy inaczej, wyodrębnienie religijno-kościelne Łemkowszczyzny stanowi etap długiej ewolucji stosunków, jakiej ten kraj od kilkudziesięciu lat ulegał.

Do najbardziej zastanawiających na jego terenie zjawisk należał niebywały wprost rozwój prawosławia, które już w latach powojennych święciło tu prawdziwe tryumfy, przyjmując na swe łono Łemków tysiącami. Podatnym gruntem do rozszerzania się prawosławia na Łemkowszczyźnie był ruch t. zw. moskalofilski, datujący się jeszcze z przed wojny. Ruch ten, oczywista rzecz, znalazł się u progu realizacji swych marzeń w chwili ofenzywy Rosjan na Galicję, ofenzywy, za którą szedł metropolita Eulogjusz z kilkoma wagonami koszul, rozdawanych szczodrze neofitom prawosławia [1]). Zmienne wojny koleje zrobiły z nich strzępy. Tem niemniej jednak ekspansja prawosławia, tym razem znajdująca oparcie w Warszawie, nie ustała; przeciwnie, do pierwszej fali masowego sprawosławienia się przyłączyła się druga z lat 1926—27.

---

[1]) W pierwszej chwili wybuchu wojny b. redaktor rusyfikacyjnego „Chełmskiego narodnego listka“, Djonizy archijerej, „wkracza“ za zwycięskiemi wojskami na tereny Rusi Czerwonej: „26 września 1914 r. ws. przewielebność Djonizy rozpoczął arcypasterski objazd części Halickiego Podola, gdzie wprowadził w wielu wsiach św. prawosławie, wyznaczając tam prawosławnych duchownych. Pod mądrem kierownictwem arcypasterzy (archipr. Antonjusz, pr. Eulogjusz i Djonizy — przyp. nasz) św. prawosławie w Galicji rosło z nadzwyczajną siłą. Do końca marca 1915 r. liczono już 152 parafje, a do końca kwietnia 200, pozatem oczekiwano otwarcia jeszcze 300 parafji („Słowo“ Nr. 31/34 r.). To piorunujące tempo polegało na tem, że aresztowano zwykle miejscowego parocha unickiego, na jego miejsce wstępował pop i ogłaszał cerkiew za prawosławną. Ludność nie miała w tej sprawie żadnego głosu. Naskutek takiego apostolstwa wywieziono wgłąb Rosji lub na Sybir 180 unickich kapłanów z metropolitą Szeptyckim na czele. Tak postępowali ci, którzy wynosili pod niebiosy swą prawosławną szlachetność, a słowo katolik dla szyderstwa wywodzili od słowa kat. Zaiste, bezczelność to niesłychana, gdy oprawca swe ofiary nazywa imieniem kata. Ongiś podobną rolę, jak Djonizy i Eulogjusz względem Galicji, spełnił biskup Kuziemski względem Chełmszczyzny, z pochodzenia lwowianin, kanonik katedry lwowskiej, świętojurec, mianowany 25.VI 1865, godny następca Siemiaszki, apostaty i zdrajcy. („Przeg. kat.“ Nr. 3, 1927).

Hasło hr. W. Bobryńskiego, rzucone w roku 1910 na jednem z zebrań Halicko-rosyjskiego T-wa, że zgodnie z historją Rosja ma prawo na zachodzie do granic wzdłuż Łukowa, Sudomira (Sandomierza) „aż po bramy Krakowa, dokąd obecnie dochodzi dzielne r o s y j s k i e plemię górali zwanych Łemkami" — zostało na swój sposób wprowadzone w życie.

Akcja w latach 1926—27 zaznaczyła się niemniej haniebnie, jakkolwiek nie były to wcale czasy wojenne. 35 cerkwi łemkowskich zostało wówczas ograbionych na oczach wiernych, a najważniejsze jest to, że grabieżcom uszło to bezkarnie. Nie należy się dziwić, że to się razporaz powtarza. Podobna rzecz stała się dn. 23 lutego 34 r. w Lipnie, w gorlickim powiecie. „Gromada prawosławnych siekierami i żelaznymi kołami rozbiła drzwi w greko-kat. cerkwi. Porozbijano ikonostas, który ogromnie cenili wierni. Niektóre obrazy zupełnie zniszczono. Wszystko przeniesiono do prawosławnej kaplicy, w gr.-kat. cerkwi zostały tylko gołe ściany". („Ukraińskij Beskid" Nr. 12,34).

Dla pełni obrazu stosunków religijnych na tych terenach wspomnieć należy o rozwoju ewangelicyzmu. Sprawę tę oświetla w ten sposób oficjalna Ew. Pol. Agencja pr.

„Ruch ewangelicki we wschodniej Małopolsce wypływa z dwuch źródeł. Pierwszem z nich było bezpośrednie zetknięcie się prostego ludu podczas wojny światowej; jako żołnierze armji austrjackiej spotkali się z ewangelicyzmem bądź to w krajach ewangelickich, głównie w Niemczech, bądź na Ukrainie i w Rosji, gdzie jeńcy poznali sekciarstwo — głównie sztundystów i baptystów. Powojenna depresja duchowa u ludzi z gruntu religijnych musiała spotęgować ich uczucia i zainteresowania w tej dziedzinie i kazać szukać oparcia w Ewangelji i wierze. Drugiem źródłem i pobudką zainteresowania, zdaniem Agencji, była nietaktowana polityka hierarchji grecko-katolickiej, a właściwie Rzymu, zwłaszcza wyrażająca się w latynizowniu

obrządku greckiego przez inowacje w formie godzinek, adoracji i celibatu. W końcu stosunek niektórych księży grecko-katolickich, nacechowany przyziemnym materjalizmem. W rezultacie „cisi wyznawcy“ (?) musieli popaść w konflikt nietylko z nauką i praktyką katolicką, ale i z władzą kościelną, co zmusiło ich do zajęcia własnego stanowiska i, co zatem idzie, utworzenia osobnych zborów na wzór sekciarski. Terenem największego odszczepieństwa od kościoła greko-katol. był powiat kołomyjski i stanisławowski. Misja ewangelicka, sprowadzona z Ameryki w maju 1925 r. przez adwokata dr. Romana Morozowicza w porozumieniu z „Ukraińskim Jewangelskim Obiednaniem“ (Stowarzyszenie Ukr. Ewang. Kościołów w Ameryce i Kanadzie), pod prawną opieką superintendenta D. Zöcklera zorganizowała nowe zbory ukraińskie wyznania ewang.-augsburskiego i helweckiego. W skład misji na samym początku weszło dwuch księży grecko-kat.: ks. Fediw, który na rok przed przybyciem misji czynnie reagował przeciwko wspomnanym inowacjom w kościele grecko-kat. i odprawiał nabożeństwa w języku ukraińskim z myślą utworzenia kościoła narodowego i ks. Staszyński, asystent metropolity Szeptyckiego. Z Ukraińsów obywateli amerykańskich weszli: pastor Krat i Buczak. Misja nietylko skupiała jednostki wierzące i istniejące już zbory wyznania ewangelickiego, lecz także głosiła Ewangelję na innych terenach. W tym celu posługiwano się kolportażem Biblji i czasopisma religijnego „Wira i Nauka“, specjalnie założonego. Pracownicy misyjni przystosowali się do psychologji ludności. Mając na uwadze, że przejście od jednego ekstremu — okazałości liturgicznej grecko-kat. do drugiego ekstremu — oschłości prezbiterjańskiej (tylko kazanie i śpiew) byłoby niemożliwem, stworzyli skróconą liturgję w formie luterskiej, wzorowaną na greckiej. Gdzie znów ludność sama zażądała całkowitego zerwania z rytuałem i tradycją grecko-kat. Kościoła, tam nadano formę czysto

reformowną lub presbiterjańską. Tak więc z biegiem czasu zbory powiatu stanisławowskiego utworzyły grupę augsburską, zbory powiatu kołomyjskiego — grupę reformowaną. Ta racjonalna taktyka misji w podejściu do ducha ludu wiejskiego zróżniczkowała niestety nie same zbory, lecz pracowników misyjnych; powstały stąd tarcia wyznaniowe, czego wynikiem obecnie jest odłączenie się kilku zborów reformowanych z pastorem Kratem na czele i przyłączenie się do konsystorza wileńskiego [1]). W skład misji obecnej wchodzą pracownicy reformowani, pastorowie Fediw, Chomiak, Jarembo, stud. Hawański, Żuryło, Żurakowski; pracownicy luteranie: pastorowie Jarczuk, Demczyszyn Szebec, stud. Pyszczuk, Krawczuk. Wszyscy razem tworzą misyjną radę, której prezesem jest dr. Morozowicz, wiceprezesem pastor Fediw, sekretarzem pastor Jarczuk. Zborów reformowanych zorganizowano dotychczas 15, z tego zalegalizowanych 9. Największy zbór liczy 300 rodzin, najmniejszy 5 rodzin. Oprócz tego w pięciu wioskach pow. Kołomyjskiego są ewangelicy po 1 — 2 — 3 rodziny, w Piadykach 4 rodziny. Domy modlitwy posiadają zbory: Kołomyja, Peremiłów, Mołodiatyn, Podhajczyki. Zbory augsburskie są większe i posiadają 3 kościoły. Misja od samego początku wydaje czasopismo religijne „Wira i nauka", w r. 1923 zmienione na „Ukraińska reformacja". Redaguje kolegjum, składające się z pracowników reformowanych i luteranów. Od stycznia 1931 wychodzi dwutygodniowa ulotka „Prozry", redagowana przez p. Jarczuka, a nabierająca obecnie charakteru czasopisma luterskiego.

---

[1]) Na tem tle powstało w swoim czasie nieporozumienie. W czerwcu 1931 r. metodystyczny organ „Pilgrzym Polski", a za nim KAP podały, że na Podkarpaciu chce się oderwać cała gmina dawniej greckokat. Zaprzeczyła temu kurja stanisławowska, o tyle słusznie, że zapewne chodziło tu o jeden ze zborów, który nie mógł też liczyć podanej przez „Pilgrzyma" ilości 1.500 człon.

Poza wyznaniami wyżej wspomnianemi na teren Małopolski wschodniej wchodzą już od lat 10 metodyści. Prócz grupy kongregacji niemieckich, znajdujących się na ziemiach zachodnich, metodyści mają również swe placówki na wschodzie. Nie licząc Wilna, Białej Rusi (Debreczyn, Kleck, Średnie Sioło), we Lwowie i Przemyślu, gdzie mają zamiar budować świątynię (KAP. Nr. 176 — 31). Wobec tego zjawiska występuje ostro grecko-kat. „Beskyd“ Nr. 11 r. 31, pisząc: „Obecnie przekonaliśmy się ponad wszelką wątpliwość, że wprowadzenie prawosławia na Łemkowszczyznę było tylko wstępem, po którym runęła na te ziemie wszelka bolszewicka i sekciarska zaraza, był to początek naruszenia nietylko autorytetu Kościoła kat., ale podważenia religji wogóle“. Niestety prawosławie nie umie się przeciwstawić temu najazdowi sekciarzy i wywrotowców, działających pod formą Selrobu etc. „Selrobsko-sekciarski rak rozwija się dalej na prawosławnym organiźmie, pracując dla celów anonimowego mocarstwa“ — konkluduje pismo.

Utrwalenie się prawosławia na Łemkowszczyźnie stale budzi niepokój grecko-kat. prasy. Przejawiło się zwłaszcza na tle zjazdu mniejszości rosyjskiej w Polsce, na którym mieli też być reprezentowani Łemkowie. Na tym zjeździe wypłynęły oczywiście wszystkie sprawy religijno-wyznaniowe, które jątrzą społeczeństwo ukraińskie. Przy okazji dostało się też unji.

W związku z tem „Nowa Zorja“ w początkach lipca 31 r. pisała: „Nie możemy się zgodzić, by jakaś rosyjska, prawosławna mniejszość wtrącała się do spraw Kościoła grecko-kat., a zwłaszcza omawiała takie sprawy, jak latynizacja wschodniego obrządku, celibat księży i t. p. zagadnienia czysto kościelne. Wtrącanie się do spraw tych piętnuje „Nowa Zorja“ jako metodę „tatarskich ludzi“. Mianem tem należy też objąć tych domniemanych greko-katolików, rusofilów z Łemkowszczyzny, który, jak pisze „Za

swobodu", mieli rzekomo wziąć udział w zjeździe Rosjan prawosławnych.

Wracając jeszcze do kwestji współdziałania wywrotowców z sekciarzami, należy zanotować parę charakterystycznych pod tym względem faktów. Tak więc ruch selrobski specjalnie opanowuje koeperatywy ukraińskie. W takiej Żółkwi Selrob osiągnął większość zarówno w radzie kooperatywy, jak i w radzie banku spółdzielczego. W związku z tem „Nowa Zorja" nawołuje duchowieństwo grecko-katolickie do czujności. W innym wypadku we wsi Wołma, w stanisławowskiem, w czasie Zielonych świąt r. 31 odbyło się zebranie pod pretekstem odczytu badacza Pisma św. Do zgromadzonej w liczbie bezmała 1.500 ludności przemówił tymczasem agent komunistyczny, który po kilku zdawkowych frazesach na temat Ewangelji, zaczął wygłaszać nawskroś prowokacyjne przemówienie antypaństwowe. Zdaje się był to jeden z absolwentów kursów bezbożniczych w Mińsku. Z tych paru fragmentów wyłania się już obraz stosunków, panujących na tym ważnym odcinku Małopolski wschodniej, jak w stanisławowskiem, przemyskiem, a zwłaszcza na Łemkowszczyźnie. Widzimy tutaj poważne fermenty społeczne i religijne, które na terenie, tak kulturalnie niewyrobionym, muszą przedstawiać źródło różnych niebezpieczeństw. Koncentryczna akcja w kierunku Łemkowszczyzny podkreśla przecież tezę zasadniczą, że teren ten jest z najrozmaitszych względów, politycznych, społecznych, religijnych i kulturalnych, bardzo ważny, że z jego opanowaniem wiąże się wiele nadziei ze strony różnych czynników. Z tego faktu należy zdać sobie sprawę. Ostatnio np. notuje się agitację w kierunku emigracji Łemków do Rosji sow. Na czele akcji stanął inż. Durkot, który podobno uzyskał od Sowietów teren kolonizacyjny na Syberji, rozsyła więc agentów i werbuje ochodników. („N. Zoria", Nr. 33 r. 34).

W tej chwili na Łemkowszczyźnie jest 27 prawosław-

nych parafji, 40 cerkwi i 25.000 wiernych. („Słowo“ organ. metr. praw. Warszawa, dn. 1 marca 34 r.). Według naogół dobrze poinformowanego „Oriensu“ Nr. 2 r. 1934, jest tam prawosławnych jakie 20.000 (na 128.000 pozostałych wiernymi Kościołowi — czyli 15%).

Prawosławie zwraca pilną uwagę na Łemkowszczyznę. Tak więc 6 marca we wsi Desznicy, powiatu Jasielskiego, odbył się zjazd misjonarzy prawosławnych na Łemkowszczyźnie. Przewodniczył zjazdowi „hieromonach“ Filoteusz Narko, mający stałą siedzibę we Lwowie, jako dziekan parafji prawosławnych w Małopolsce. W czasie zjazdu omówiono szereg aktualnych spraw, więc powołania dla tej części kraju biskupa-wikarjusza, katechizacji dzieci, zakładania bractw, propagandy prasowej i t. p.

Ten lokalny zjazd był refleksem wzmożenia zainteresowania się Łemkowszczyzną, jakie w ostatnich czasach przejawia prawosławna Warszawa. Po Sturm-und Drang-Periode z lat 1926—27 nastąpiło osłabienie akcji prawosławnej. Dopiero wśród lata 1931 zwierzchnictwo cerkwi prawosławnej w Warszawie delegowało na Łemkowszczyznę krzemienieckiego biskupa-wikarjusza Simona w celu odbycia duszpasterskiej wizytacji Łemków. Wizytator nie został podobno przyjęty zbyt entuzjastycznie — jak twierdzi „N. Zoria“.

Po tej próbie nastąpiło pewne osłabienie zainteresowania Łemkowszczyzną. Aż wreszcie na tle możliwości utworzenia kat. administracji kościelnej, pod koniec roku 1933, w dniach 28 — 30 grudnia zwołano do Warszawy pod przewodnictwem metropolity Djonizego zjazd przedstawicieli duchowieństwa i świeckich warszawsko-chełmskiej djecezji, w skład której wchodzą także i tereny łemkowskie. Wśród wielu różnych zagadnień omawiano też na tym zjeździe sprawę ożywienia i wzmocnienia akcji prawosławnej na Łemkowszczyźnie. Akcję w tym kierunku mają wesprzeć w myśl uchwał zjazdu wszystkie djecezje

prawosławne w Polsce. W celu zmożenia i ułatwienia tej akcji postanowiono domagać się ustanowienia prawosławnego biskupa we Lwowie, albo na Łemkowszczyźnie. „Zjazd wzywa wszystkie djecezje do wspomożenia prawosławnego ruchu w Galicji (stary termin pokutuje — przyp. nasz). Jednocześnie robi zjazd starania u władz w kierunku utworzenia katedry prawosławnego biskupa we Lwowie. („Ruskij Gołos“ Nr. 3, 34 r.).

Sprawą powołania nowego biskupstwa prawosławnego obarczono metr. Djonizego. Że sprawa ta rozwijała się w tempie dość szybkiem na początku roku 1934, świadczą następujące notatki z „Ruskiego Gołosu“ (Nr. 9 i 10). „Z miarodajnych źródeł donoszą, że Metropolja zwróciła się do Min. Wyznań, przedstawiając potrzebę mianowania prawosławnego biskupa dla ziemi halickiej, a głównie dla Łemkowszczyzny. Załatwienie tej sprawy zależy od stosunku do niej Ministerstwa. Metropolja wysunęła kandydaturę przełożonego poczajowskiej ławry, archimandryty Pantalejmona, który w wypadku jego wyświęcenia na biskupa halickiego, usadowiłby się we Lwowie, lub na Łemkowszczyźnie, gdzie jest najwięcej prawosławnych“.

Kandydaturę tę katolicka „Nowa Zorja“ (Nr. 23 z dn. 29 marca 34 r.) zaopatruje takim komentarzem:

„Archimandryta Pantalejmon Rudik, to nasz galicyjski, zmoskwiczony rodak, który aż do takiego stopnia pała nienawiścią do wszystkiego, co ukraińskie, że swe prawosławno-agitacyjne kazania na Łemkach w latach 1926—27 wygłaszał wyłącznie po moskiewsku. Wobec tego nie można się dziwić, że „Ruskij Gołos“ nazywa go „zasłużonym, galicyjskim, prawosławnym działaczem“.

Gdyby doszło do tego mianowania — pisze „Nowa Zorja“ — wówczas powstanie na nowo bezwzględna religijna wojna i Łemkowszczyzna stanie się pastwą bałkanizacji. Pantalejmon dał się dobrze poznać ze swej schizmatyckiej agitacji na Łemkowszczyźnie w latach 1926—27,

trudno więc przypuścić, by otrzymawszy większą władzę nie tumanił dalej w duchu prawosławnym, a przez to nie wywoływał walk religijnych. W rezultacie — twierdzi „N. Zorja“ — miast jakiejś rzekomej pokojowej rywalizacji wyłoni się poważny konflikt i zamęt, który przyczyni się do rozbicia pod względem religijnym tej naszej, najdalej na zachód wysuniętej „krainy“ ukraińskiej [1]).

„My jeszcze dobrze pamiętamy tę „pokojową i dobroczynną“ schizmatycką rywalizacją w latach 1926 — 28 na Łemkowszczyźnie, kiedy to wyznawcy „pokojowego“ warszawskiego prawosławia, a także miejscowi siepacze znęcali się w najbardziej dziki sposób nad greko-katolikami, którym sumienie nie pozwalało przejść na schizmę; zatem owej „dobroczynnej rywalizacji“ tak prędko nie zapomnimy“.

Z innych faktów, świadczących o wzmożeniu zainteresowania ze strony prawosławia, wymienić należy zjazd prawosławnego duchowieństwa łemkowskiego, urządzony dnia 6.III — 34 r. w Dosznicy, pow. Jasło. Na zjeździe owym wygłoszono szereg referatów, wśród nich niektóre pod znamiennymi tytułami „Kulturalno-oświatowa praca praw. duchowieństwa na Łemkowszczyźnie“, „Założenie bractwa im. Maksyma Sandowicza“. W zjeździe brał udział, jako przedstawiciel metr. Djonizego, redaktor „Słowa“, Pawliszyn. Pisma to, jak wiadomo, w początku roku ogromnie żywo w szeregu artykułów omawiało sprawę łemkowską. Pozatem w dyskusji bardzo żywo omawiano kwestję mianowania administratora apostolskiego dla Łemkowszczyzny.

W nacjonalistycznej prasie ukraińskiej nie brak także

---

[1]) A więc poważne, katolickie, konserwatywne pismo ukraińskie „Nowa Zorja“ uważa, że Łemkowszczyzna, czyli zasięg osiedlenia Łemków wśród polskiej ludności Małopolski zachodniej, rozciągający się po linję Dunajca, jest „krainą ukraińską“. Proszę to zapamiętać! (Uwaga Red.).

komentarzy do wspomnianych problemów religijno-kościelnych. Prasa ta podchodzi do zagadnienia po swojemu i stwierdza, że tryumfy prawosławia wynikły właśnie z niedostatku akcji ukraińskiej. Wskazuje ona na to, że propaganda prawosławia zaczęła się już przed wojną, w latach 1910—14, kiedy propaganda ukrainizmu była jeszcze w powijakach, księża ukraińcy byli czemś wyjątkowem, a w konsystorzu przemyskim trwały tradycje „staroruskie". Zdaniem tej prasy grunt pod schizmę przygotowali właśnie księża-moskalofile, conajmniej przez to, że zbytnio podkreślali kulturalną i narodową jedność „hałyczan" z Rosją, a w pojęciu tej jedności tak, czy inaczej mieściło się też prawosławie. Dalej zaniechali ci księża katolickiego uświadamiania ludu, niewolniczo trzymali się starej liturgji. Krótko mówiąc — według tej prasy — nie ukrainizacja cerkwi na Łemkach wywołała schizmę, ale przeciwnie, zbyt późne podjęcie akcji uświadomienia ukraińskiego.

Te pretensje do moskalofilstwa w swoisty sposób odbiły się też echem na łamach „Nowej Zorji" w jej ocenie ostatniej nominacji administratora apostolskiego. Czytamy tam:

„Koło tej sprawy zakrzątnęli się moskalofile do spółki z polskiemi władzami, które wyraziły na to zgodę, a nawet przedłożyły Stolicy Apost. sprawę utworzenia wspomnianej religijnej placówki. Rzecz oczywista, że cel Ap. Stolicy co do Łemkowszczyzny nie pokrywa się z celem naszych moskalofilów i polskiego rządu".

O ile doszłoby do mianowania prawosławnego episkopa we Lwowie, czy na Łemkach, wtedy będziemy mieli zdaniem „N. Zorji" wyraźnie zarysowane tendencje sfer rządzących, polegające na wykorzystaniu antagonizmów religijno-politycznych, które osłabią i rozbiją religijnie „najdalej na zachód wysuniętę placówkę ukraińską".

Ukraińcy nietylko frazesami stwierdzają tę łączność

z Łemkami. Rozwijają ostatnio wśród nich bardzo ożywioną działalność kulturalną i społeczno-gospodarczą. A więc „założono 154 punkty biblioteczne. Wysyła się około 20.000 egz. gazet gratis“. Taka „Narodna Sprawa“ (bardzo rozpowszechniony tygodnik) przeznaczyła dla propagandy 1000 egz. i wysyłać je będzie przez cały rok. „Proświta“ do 15 lutego założyła 36 nowych czytelni. Założono specjalny tygodnik dla Łemków. 24 młodych chłopców kształci się darmo w ukraińskich bursach. Budzi się jednak i miejscowe społeczeństwo: 15 marca założono w Gorlicach chłopski „Łemkowskij Sojuz“, który powołuje się na to, że w Bułgarji z chłopami się liczą. „(Łemko“ Nr. 3, 29 marca 34 r.).

W sposób bardziej zrównoważony i poważny ujęła sprawę nominacji O. Nagorjańskiego „Meta“, tygodnik kat., będący organem metropolity Szeptyckiego (Nr. 9 z dn. 4 marca 34).

Na wstępie pismo zaznacza, że wyodrębnienie Łemkowszczyzny nie stanowi bynajmniej rozbicia ścisłej jedności metropolji halickiej, bo taka jedność właściwie nie istniała z przyczyn, wytworzonych nie w Rzymie, ale na lokalnym gruncie... (Mówiąc nawiasem dekret „Quo aptius consuleret“ ustanawia właściwie Admin. Łemkowską czasowo i jedynie jako wyłączenie jej terenu z pod władzy przemyskiego władyki — o tym szczególe często zapominają dyskutanci). „Meta“ stwierdza dalej, że Rzym, tworząc nową Administrację, nie kierował się bynajmniej względami nacjonalno-politycznymi, lecz kościelnymi. Stworzenie tej Administracji nie utrwala bynajmniej jakiegoś dokonywującego się na Łemkowszczyźnie procesu i nie wyklucza różnych możliwości na przyszłość, do których klucz jest w naszych (t. j. ukraińskich) rękach. W religijno-obrzędowym chaosie na Łemkach nowe biskupstwo jest bezprzecznie „ośrodkiem porządkującym“. „Meta“ spodziewa się, że przy roztropności i takcie da się pozyskać

dla ukraińskiej idei te umiarkowane jednostki z „taboru moskalofilskiego“, które rozczarowały się do Rosji i zbliżają się do „ukraińskiego pnia“. Wszyscy inni, zdaniem „Mety“, wobec podjęcia przez Rosję bolszewicką tradycji wynaradawiającej polityki Piotra W. i Katarzyny II w stosunku do Ukrainy, to niedobitki „sprzedajne“. O księdzu Administratorze pisze dalej organ metropolity, że osoba nominata „daje pewną nadzieją, iż dalszy rozwój wypadków na Łemkowszczyźnie, zależny od niego, nie pójdzie przeciw dobru ukraińskiej Cerkwi katolickiej i ukraińskiego narodu. Oczywiście jest możliwa dywersja, ale wypadnie ją unieszkodliwić przez wykorzystanie sił nacjonalistycznie usposobionych, a dotąd skłaniających się do moskalofilstwa. Co do rozbudowy dalszej naszej t. zw. łemkowskiej polityki, to — wobec tego, że posunięcia Rzymu mają daleką perspektywę poza granicami nacjonalistycznego dobra i zła i tworzą jedynie ogólne problemy — przed nami stoi taki problem, do którego rozwiązania stworzyć należy fakty. Będziemy je umieli tworzyć. I stworzymy...“ kończy pismo.

Nowy organ łemkowski, „Łemko“, tak ocenia nominację:

„Najwięcej zamętu zrobiła nominacja administratora, O. Nagorjańskiego, jak mówią ukraińcy „kacapa“. Wiemy wszyscy, że do ostatniej chwili próbowali jegomościowie ratować ukraińskość na Łemkach i używali w tym celu różnych sztuczek. Na O. Nagorjańskiego donosili przed władzami, wysuwali swych kandydatów: godzili się nawet na „wschodni obrządek“, byle tylko nominat był ukraińcem. Z tego widać, że tu szło nie o wiarę, lecz o Ukrainę. Słowem robili tak, jak robi cała Ukraina — odkąd się na świat zrodziła. Nie pomogło. Sprawa już załatwiona.

Będziemy mieli zatem swego ruskiego Pasterza. Jakże to miło dźwięczy: „swego ruskiego“ — czyż bowiem

mogliśmy nazwać biskupa Kocyłowskiego „swoim“? Kir Józafat obrzucał nas słowami potępień i nienawiści przy każdej okazji, możemy więc śmiało rzec, że biskup Kocyłowski i jego nieszczęsny doradca Kaczmar przez tę swą bezlitosną i zajadłą walkę z nami doprowadzili nas do zerwania z Przemyślem. Dzisiaj jesteśmy im za to wdzięczni. Odetchniemy bez nich! Bóg dopomógł nam do zwycięstwa, a przy nas i cała halicka Ruś wzmogła swe siły i ducha. Z dobromilskiego i leskiego powiatu piszą do nas — żeby postarać się i ich wyswobodzić z pod tyrańskiej ręki ich władyki i przyłączyć do biskupstwa łemkowskiego. Kurczy się zatem Ukraina, a rzucają się ze złości ukraińcy, którzy widząc, że tracą grunt pod nogami na Łemkach, zaczynają walczyć z nami swymi znanymi argumentami, zarówno z przed wojny, jak i z czasów wojny. Oni sami, płatni agenci Austrji i Berlina, przywykłszy brać od kogo tylko można, nie mogą dziś pojąć, że nie wszyscy tak robią i że są jeszcze ludzie, którzy szczerze pragną pomóc swemu narodowi. To ci właśnie ukraińcy krzyczeli przed wojną, że my bierzemy pieniądze od Rosji i swemi złośliwemi denuncjacjami doprowadzili do tego, że tysiące naszych ludzi pomarło w kryminałach i na przydrożnych wierzbach, oni to kłamliwie świadczyli przeciw nam w austrjackich sądach i krzyczeli: „powiesić — powiesić!“ i oni teraz rzucają się i zaczynają nas oczerniać, że całą robotę prowadzimy za pieniądze. Lecz jeszcze nie porozumieli się między sobą, skąd pochodzą te pieniądze, bo jedni krzyczą, że bolszewickie, drudzy, że polskie, ale oni wkrótce i tu dojdą do zgody... Ale, jak nie pomogły wam gromy i przeklinanie wszystkiego, co ruskie, miotane do niedawna przez waszego władykę i jego doradców, tak samo nie uratują ukrainizmu na Łemkach i próby oczerniania. Nasza ludność już nieraz spotykała się z tem od ukraińców i umie odróżnić prawdę od kłamstwa“.

Z tego obszernego cytatu czytelnik może już nabrać

należytego wyobrażenia, o co właściwie idzie na Łemkowszczyźnie. Jesteśmy świadkami budzenia się poczucia odrębności i samodzielności Łemków, którzy, jako spory, bo sto kilkadziesiąt tysięcy liczący szczep, pragną zdobyć i ustalić swą własną pozycję kulturalną w świecie. Odżegnywują się więc wszystkiemi siłami od tych, którzy chcą ich przypisać czy to do ukraińskiej, czy do jakiejkolwiek innej orjentacji. Zwłaszcza zaś podkreślają swoje antyukraińskie stanowisko i na jego poparcie przytaczają krzywdy, jakich doświadczyli od ukraińców, cieszących się poparciem Austrji i denuncjujących każdy odruch samodzielności jako sprzyjanie Rosji i zdradę „monarchji". Na drodze do zdobycia tej samodzielności Łemkowie położyli, jak pisze wspomniany organ, już niejedną ofiarę z życia, stąd ich duma i pewność, że wytknięty szlak pracy ma za sobą poważną tradycję, a przed sobą wielką przyszłość. Łemkowie, jak widać, chcą być panami u siebie, chcą rządzić się własnemi siłami, czerpać z własnych duchowych zasobów, bez dyktanda i kontroli ukraińskiej, jedynie bowiem na tej drodze mogą liczyć na poszanowanie swej godności ludzkiej i swych praw.

Trzeba stwierdzić, że pracę mają niełatwą. Sprzysięgła się bowiem przeciw nim złośliwość i nawet zbrodnia. Tak np. w Zawadzce wybudowany w r. 1933 dom czytelni ludowej jakaś zbrodnicza ręka dn. 15 marca podpaliła. To jednak nie zraziło zawadzczan, postanowili wybudować nowy dom, już nie drewniany, a murowany („Łemko" Nr. 3). Wogóle teren czytelni służy do najzaciętszych rozgrywek. Przeciw czytelniom idą najzłośliwsze ataki. Tak np. w Rymanowie założoną w r. 1931 czytelnię zwalcza zaciekle miejscowy ukraiński paroch O. Michaił Żepliński. Atakuje on zwłaszcza sekretarza czytelni, p. M. Barnę. W związku z tem pisze „Łemko": „Jegomość (ów Żepliński), który jest usposobienia wesołego i lubi zaśpiewać nieraz przy nabożeństwie za umarłych:

„Hej hop Hryciu, nie łapaj za spidnyciu“, nie umie się pohamować od napaści na uczęszczających do czytelni. Zwłaszcza zaczął się pieklić, kiedy członkowie czytelni podjęli budowę własnego domu. Wówczas publicznie w cerkwi nazwał członków czytelni podlecami, smarkaczami i zaczął przysięgać, że do pięciu lat w Polsce nie będzie ani jednego rusina (rusnaka), a budowniczy czytelni pójdą do „czertowej matiery!“

Jak widzimy, walkę o duszę Łemków prowadzi się w sposób bardzo bezwzględny, nie wyłączając zwykłego, ordynarnego wymyślania. Łemkowszczyzna otrząsa się jednak z najazdu swych prześladowców i orjentuje na nowe tory. Świadczy o tem m. in. zjazd w Gorlicach, na którym wysłano pismo dziękczynne do Nuncjusza i do Rządu polskiego z powodu nominacji O. Nagorjańskiego.

Stefan Radost

RUSINI, CZY UKRAIŃCY?

W Ilustrowanym Kurjerze krakowskim zamieścił niedawno p. Kazimierz Kierski artykuł pod powyższym tytułem i to artykuł w takiej formie, że chociaż czytało go się z prawdziwem zainteresowaniem, to jednak nie nadawał się właściwie do tak powszechnie poczytnego, popularnego dziennika. Twierdzenie swoje popiera bowiem autor tak licznymi cytatami i odsyłaczami źródłowymi, że artykuł jego, aczkolwiek przystępnym stylem pisany, robi wrażenie rozprawy naukowej.

Wywody swoje reasumuje p. Kierski w twierdzeniu, że nazwa „Ukraińcy" dla narodu ruskiego jest sztuczną i niedawno stworzoną, a natomiast jedynie właściwą, historycznie uzasadnioną nazwą jest: Rusini.

Wiadomo nam dobrze, że I. K. C. jest, ogółem biorąc, nieprzychylnie nastrojony dla naszych „Ukraińców" i nieraz poważnie im dopieka. Ma do tego może i pewne powody. Ale to nastawienie I. K. C. nie miałoby w danym wypadku żadnego na nas wpływu, tembardziej, że z dziennikiem tym absolutnie nic nas nie łączy, gdyby nie rzeczowa okoliczność, że wywody cytowanego artykułu nieznanego nam zresztą zupełnie autora są istotnie słuszne i przekonywujące.

Tylko, że autor — modnym dziś w tej sprawie zwyczajem — wsiadł na wysokiego Pegaza naukowo-historycznego, zasypując nas dokumentami od czasów Chmielnickiego, aż do niedawnych. To pożyteczne, nawet niezbędne dla solidnego pogłębienia i przygwożdżenia sprawy, ale z praktycznego punktu widzenia wydaje nam się to niedostatecznem. Nadmiar erudycji, gdy chodzi o spra-

wy aktualne i piekące, zaciemnia nieraz istotę rzeczy — prostą i jasną — a co do wartości różnych dokumentów historycznych, to możnaby mówić o tem wiele. Wystarczy np. porównać dzisiejsze listy, czy dwa protokuły, czy dwa sprawozdania, czy nawet dwie źródłowe prace w jakiejkolwiek bieżącej sprawie, a przekonać się można łatwo, że każde z nich prawi co innego o tej samej rzeczy, zależnie od punktu widzenia, przekonań, lub zamiarów politycznych autora. To samo oczywiście działo się i w przeszłości. Nie każdy list, czy inny dokument polski lub ruski z dawnych czasów musi być zaraz alfą i omegą w naszym dzisiejszym polsko-ruskim sporze. Wszak to tylko drobne fragmenty ówczesnej historji, a raczej mentalności, nieraz nawet tylko namiętności! A takie fragmenty nie mogą nam dać należytego obrazu ówczesnej sytuacji, zwłaszcza, jeżeli są sprzeczne. Wszak sto dokumentów może przemawiać za pewną tezą, a drugie sto może naciągnąć rzeczywistość przeciw niej.

I dlatego — nie przecząc bynajmniej konieczności fundamentalnych badań historyczno-dokumentarnych w sprawie polsko-ruskiej — musimy jednak obok tego ująć sprawę także z pewnego prostszego, więcej życiowego punktu widzenia.

W gruncie rzeczy mogłoby nam być obojętnem, jak się dany naród oficjalnie chce nazywać. Bo co nam to może szkodzić? Jeżeli np. Serbowie, Kroaci i Słoweńcy chcą się po wojnie nazywać Jugosłowianami, to nie mamy żadnego powodu, aby tego nie uznawać. Połączyli się politycznie, stworzyli sobie razem jedno państwo, nowy sztandar i nową nazwę dla zjednoczonego od lat kilkunastu n o w e g o narodu.

Inaczej jednak ma się rzecz z nazwą „Ukrainiec", zwłaszcza, jeżeli nazwa ta ma być używana także i w polskim języku. Ta sprawa nie może nam być obojętną z tego prostego powodu, że najpierw dzisiejsi Ukraińcy chcą

przekonać świat cały i naukę, że od niepamiętnych czasów byli i nazywali się narodem ukraińskim — a więc narzucić nam fałsz — a powtóre, że dzisiejsi Ukraińcy chcą robić i rozszerzać „odwieczną Ukrainę“ na obszarach, na których w żadnym razie nigdy jej nie było i być nie mogło. A więc nie wystarcza im już dawne hasło z galicyjskich czasów: Lacha za San! — ale przekraczają teraz sami ten San daleko, rozszerzając propagandę Ukrainy na bardzo znaczną połać Małopolski Zachodniej. To samo robią z Białorusinami pod Wilnem, gdzie się oczywiście nigdy nawet nie śniło o żadnej Ukrainie, a bodajże i samo Wilno mają apetyt zukrainizować, skoro przecież Jagiełło i jego bojarzy mówili częściowo w życiu prywatnem po rusku — przepraszam... po ukraińsku!

Taka zabawa, przyzna każdy, nie może nam być obojętną, a ponieważ podbójczą tę propagandę prowadzi się właśnie sprytną inifiltracją nazwy „Ukraina“, więc też z nazwą tą trzeba się w pierwszym rzędzie rozprawić.

Są rzeczy wątpliwe, sporne, podlegające dyskusji i wymagające dyskusji dla należytego ich wyjaśnienia. Są natomiast inne, tak proste i jasne, tak oczywiste, tak poprostu już w podświadomości każdego ugruntowane, że wszelka dyskusja o nich tylko gmatwa je, zaciemnia i fałszuje. Czyż można wogóle dyskutować nad tem, co to jest Ukraina? Wysila się nad tem — naszem zdaniem niepotrzebnie — polska nauka i polityka. Tłumaczy to oczywiście i propaguje także na swój sposób urbi et orbi nowoczesna — stanowczo nowoczesna! — polityka ukraińska. A nam się zdaje, że im więcej o tej Ukrainie mowa, im więcej zwłaszcza o niej przemówień się wygłasza i rozpraw — zwłaszcza naukowych — ogłasza, tem bardziej pojęcie Ukrainy staje się czemś fantastycznem, nadziemskiem, nieokreślonem.

Spójrzmy trzeźwo na ziemię. Przestańmy fałszować rzeczywistość politykowaniem. Każdy Polak i Rusin wie

doskonale, gdzie leży ziemia, zwana Ukrainą (dosłownie po polsku: Ziemia Kresowa) i wie także dobrze, że na tej ziemi, po obu stronach Dniepru, mieszkali od wieków i Rusini i Polacy — jedni i drudzy przeważnie koloniści na tych ongiś dzikich polach, zniszczonych i wyludnionych poprzednio długoltniem panowaniem mongolskiem. To też przed stosunkowo niedawnem rozwydrzeniem austrjacko-galicyjskiego „ukrainizmu", nazywano Ukraińcami stanowczo zarówno Rusinów, jak i Polaków, nawet magnatów polskich, tę ziemię zamieszkujących. Nikomu nie przeszłoby przez myśl nazywać Ukraińcem kogoś, nie mieszkającego na prawdziwej Ukranie, jak nie przeszłoby nikomu przez myśl szukać Ukraińców na Rusi Czerwonej, na Wołyniu, na Białorusi, na Pokuciu, czy nawet zgoła na Łemkowszczyźnie. Nawet lud ruski, zamieszkujący graniczące bezpośrednio z Ukrainą Podole, nie nazywał się nigdy Ukraińcami. Rozumiało się samo przez się, że mieszka tam wszędzie naród ruski, o pewnych lokalnych różnicach językowych, ale zawsze ruski. Rusin ze Lwowa, czy Pokucia, czy z pod Kamieńca Podolskiego był Rusinem, a natomiast wiele czysto polskich rodzin ziemiańskich z guberni kijowskiej było Ukraińcami, podobnie, jak chłop lub inteligent ruski, tam zamieszkały. Co więcej, zaświadczyć możemy, że patrjotyzm ukraiński specjalnego rodzaju, przesiąknięty silnie ruskością, istniał w rdzennie polskich rodzinach z Ukrainy, aż do wybuchu wojny światowej i do rzezi tamtejszych Polaków przez chłopstwo ruskie. Wille pod nazwą „Ukrainka", budowane po uzdrowiskach polskich (Zakopane i t. d.) przez zamożnych Polaków z Ukrainy i ich widoczne na każdym kroku przywiązywanie do tamtej ziemi i do tamtejszego „ukrainnego" ludu ruskiego, były objawami tego prawdziwie ukraińskiego, geograficznego patrjotyzmu.

Pewną jest rzeczą, że Chmielnicki, jak i inni przywódcy wojsk kozackich lub zbuntowanych mas ludu

ukraińskiego, o ile nie byli Polakami, to uważali się za Rusinów i tak zawsze o sobie mówili i pisali. A jeżeli któryś z nich mówił o Ukrainie, to najoczywiściej miał na myśli pojęcie geograficzne.

Wyrażenie i wogóle pojęcie Ukraińca w odniesieniu do całego narodu ruskiego zakiełkowało sztucznie dopiero z chwilą kolizji literackiej kultury i filologji ruskiej z rosyjską. Ponieważ w oficjalnej terminologji rosyjskiej nie było — naumyślnie — dwuch odrębnych wyrazów na odznaczenie ruskości i moskiewszczyzny, ale na jedno i drugie istniał tylko jeden wyraz: russki — więc patrjotyczni pisarze, a potem i politycy ruscy zastosowali używanie wyrazu „Ukrainiec“ celem wyraźnego odcięcia literatury i narodowości ruskiej od rosyjskiej, zwłaszcza w oczach mniej krytycznej zagranicy.

Skorzystał z tego skwapliwie rząd austrjacki w Galicji wschodniej, aby tamtejszy lud ruski przeciw Polakom podjudzić i w ten sposób sparaliżować ich dążności powstaniowe i zastosować tem bardziej staroaustrjacką zasadę divide et impera. A rozpoczął tę robotę mniej więcej w tym okresie, w którym gotował rzeź szlachty w Galicji zachodniej. W jeszcze nowszych czasach przybył do oficjalnego popierania ukrainizmu w Galicji wschodniej przez rząd austrjacki (i przez wielu polskich polityków) także moment przeciwstawienia tego sztucznego ukrainizmu propagandzie moskalofilskiej, uprawianej w Galicii przez agitatorów rosyjskich i dość silne ruskie stronnictwo moskalofilskie.

Oto prawdziwa geneza dzisiejszego ruskiego „ukrainizmu“. Mówimy zresztą rzeczy tak znane, że zdawałoby się, iż o nich w Polsce nawet wspominać nie potrzeba. Niestety, zaparcie się przez Rusinów swej ruskości, sięgającej wspaniałemi tradycjami do Włodzimierza Wielkiego i jeszcze dalej, a natomiast wytworzenie sobie przez nich fikcji jakiegoś ukrainizmu, który żadnych wogóle nie ma

tradycji, a jeżeli już ktoś gwałtem chce, to tylko bandytyzm kozacki i same mordy i rzezie aż po dzisiejsze czasy, zaplątało sprawę i umysły polskie tak dalece, że dzisiaj aż pięścią w stół musimy uderzyć Rusinom i Polakom, aby oprzytomnieli i uprzytomnili sobie, że Rusin jest przecie Rusinem, Ukraina Ukrainą, a fikcja fikcją. Boć z całkiem temsamem uzasadnieniem, na podstawie którego dzisiejsi Rusini chcą się nazywać Ukraińcami nawet tam, gdzie Ukrainy wcale niema i nawet najdalszych tradycji ukraińskich nigdy nie było — mogliby warszawiacy narzucać wszystkim Polakom nazwę Mazurów. Jestem pewien, że przy samej już tylko chęci takiej operacji bardzoby energicznie — w imię zdrowego rozsądku — w całej Polsce zaprotestowano. A przecież Mazowsze było przez szereg wieków niemal odrębnem państwem, a szczep mazurski istniał naprawdę, zanim zcementował się stopniowo z innemi plemionami w naród polski. Natomiast żadnego szczepu ukraińskiego, ani żadnego państwa ukraińskiego nigdy nie było, a fikcja politycznego ukrainizmu powstała bezwarunkowo dopiero pod obcem panowaniem, gdy ziemie ruskie podzieliły między sobą Rosja i Austrja.

Dlatego konkludujemy: ukrainizm w znaczeniu narodowem jest fikcją, o charakterze wyłącznie bojowym, a istnieli i istnieją naprawdę tylko Rusini, jako naród, który ciężkie przebywał losy, ale którego odrębność narodowa, historja i kultura są absolutnie oczywiste i bezsporne. Dziwić się więc tylko trzeba dzisiejszym Rusinom, zwłaszcza Rusinom z Małopolski wschodniej (gdzie przecież nigdy nikomu o żadnej Ukrainie się nie śniło, nawet Kozakom przy obleganiu Lwowa), że forsując gwałtem dla swego narodu — wbrew oczywistości i prawdzie historycznej — sztuczną nazwę „Ukraińców“, wolą sprowadzać i poniżać genezę i tradycję swego narodu do bandyckiego w istocie rzeczy gniazda kozackich siczowników, a więc przeważnie banitów i wywołańców ze wszystkich możli-

wych okolicznych państw i narodów, których celem głównym były właściwie tylko wyprawy rabunkowe, a którym oczywiście o żadnym ukrainiźmie w dzisiejszem znaczeniu także się nie śniło, zamiast sięgnąć z usprawiedliwioną dumą do prawdziwie świetnych i dawniejszych tradycji państwa ruskiego Włodzimierzów, skoligaconych z cesarstwem bizantyńskiem i halickich Danielów, koronowanych przez Papieża. A ten właśnie dziwny upór dzisiejszych Rusinów—jedyny może w swym rodzaju na świecie—który wywodzi genezę własnego narodu z jego ubocznych i najgorszych, zamiast prostolinijnych i najlepszych tradycji, nadaje charakter i piętno całemu dzisiejszemu sztucznemu „ukrainizmowi“ i całej jego, etycznie na wskroś niemoralnej, a politycznie samobójczej polityce. Bo rzecz jasna, że ludzie, którzy hajdamaków siczowych wzięli sobie za najwyższy ideał narodowy, nie mogą być właśnie przez to w głębi duszy niczem więcej, jak hajdamakami, mimo wszelkich zewnętrznych, niby — kulturalnych, niby — europejskich pozorów.

My, Polacy, dostarczaliśmy do Siczy niejednokrotnie także różnych banitów i awanturników z naszego społeczeństwa, mamy również w literaturze naszej różne piosenki i opowieści o zbójnikach i hajdamakach, ale nie robimy z nich narodowych ideałów!

I w tem leży bezsprzecznie najgłębsze, najistotniejsze źródło dzisiejszej ruskiej niedoli i tej całej olbrzymiej, tragicznej, bezprzykładnej pomyłki dziejowej tego nieszczęsnego narodu: fałszywy start dzisiejszej, sztucznie i błędnie wykoncypowanej tradycji narodowej. Jesteśmy pewni, że gdyby wśród dzisiejszych Rusinów powstał rozumny, logiczny, a dość silny prąd zerwania z tą sztuczną tradycją o siczowej, a więc rozbójniczej genezie nowoczesnego społeczeństwa ruskiego, a natomiast nawrotu do prawdziwych, że tak powiemy „legalnych“, pełnych prawdziwie doniosłych wspomnień tradycji kijowskich lub halic-

kich, to zmieniłaby się odrazu rola, znaczenie i dola narodu ukraińskiego w Polsce i na świecie wogóle.

Czemże więc, ściśle i realnie biorąc są nowocześni „Ukraińcy"? Niechże czytelnik, przychylny ukrainizmowi i zatopiony w całej nowoczesnej „ukraińskiej" literaturze z ostatnich stu lat, nie żachnie się na naszą tezę, ale przez chwilę objektywnie się nad nią zastanowi: Nowocześni Ukraińcy ruscy są poprostu partją polityczną, coprawda w bardzo szerokiem tego słowa znaczeniu, rozpościerającą swe wpływy i swą ideologję na coraz szersze masy ruskiego społeczeństwa z tej i z tamtej strony najpierw austrjacko-rosyjskiego, następnie polsko-rosyjskiego kordonu. Partja ta wprawdzie dzieli się na różne poddziały, umiarkowane, postępowe i wywrotowo-radykalne, bo w tak olbrzymim ruchu jedności społecznej oczywiście być nie może. Dlatego poszczególne odłamy, czy organizacje tej wielkiej partji „panukraińskiej" są nieraz między sobą na noże, bomby i rewolwery. Niemniej jednak łączy ich wspólna idea sztucznego ukrainizmu, idea o charakterze wcale nie narodowym (bo głębszy ideał narodowy na sztucznych fikcjach opierać się nie może), ale wybitnie partyjno-politycznym.

Ekspansja tej partyjnej nazwy i ideologji na masy dzisiejszego społeczeństwa ruskiego, a jeszcze bardziej na poprzednie jego pokolenie z ubiegłego wieku, była niezmiernie ułatwioną, gdyż miała do czynienia w olbrzymiej większości z ciemnym, bezkrytycznym chłopem russkim. Oddała i sprawie polskiej pewną przysługę — choć z wielu względów bardzo drogo opłaconą — gdyż przeciwstawiła się rusyfikacji znacznej części społeczeństwa ruskiego. Ale obecnie chyba już czas skończyć z tą kolosalną fikcją, która nie jest wstanie wytrzymać najlżejszego, byle objektywnego sądu historji.

Na pytanie więc, czy istnieje naród ukraiński, odpowiadamy stanowczo — aczkolwiek o sto mil jesteśmy od

endeckiego szowinizmu — że istnieje naprawdę naród ruski (z pewnymi na kresach swego zasięgu osiedlenia nieco odrębnymi, historyczno-djalektycznymi odłamami), a nad nim ciąży dzisiaj polityczna partja o nazwie „Ukraińcy“, podzielona socjalno-politycznie na różne odłamy i organizacje. Źle zaś i krótkowzrocznie dla sprawy polskiej i ruskiej robią ci Polacy wszelakich przekonań, którzy oportunistycznie lub bezkrytycznie idą na lep sztucznego fałszu ruskiej historji, podniecając i wzmacniając dzisiaj jeszcze rozwój partji ukraińskiej, gdy ona nie ma już żadnego pozytywnego celu, a stała się tylko nieustannem ogniskiem buntu i negacji wobec własnego narodu, Polski i całego świata.

POD SZTANDAREM ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ EUROPY

Gutta cavat lapidem non vi sed saepe cadendo.

Od trzech lat propaguje „Nasza Przyszłość“ ideę bloku dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy, jako organiczny, elementarny postulat utrwalenia ich bezpieczeństwa, egzystencji i wzmocnienia ich rozwoju pod każdym względem, a w tem także i ułatwienia walki z kryzysem społeczno-gospodarczym. Propaguje ten postulat nasze pismo piórem i słowem, w długiej już serji artykułów, jak również na specjalnych zebraniach naszych zwolenników, wreszcie dorywczymi artykułami, zamieszczanymi gdzieniegdzie w innej prasie.

Odpowiedziała na to swego czasu prasa zagraniczna niektórych państw, zainteresowanych tym projektem, zajmując wobec niego narazie wprawdzie jeszcze niezdecydowane, ale dość objektywne stanowisko. Nie zajęła się niem natomiast prasa polska, z pewnością dlatego, że nazbyt zetatyzowana ogólna mentalność tej prasy tamuje częstokroć jej zdolność myślenia i propagowania donioślejszych problemów państwowych na nieco dłuższą metę, a z drugiej strony zdawkowo-dziennikarski aktualizm sprawozdawczy zwraca się daleko więcej do tego, co już jest, lub co było, niż do tego co będzie, co stać się może lub powinno.

Niemniej jednak w ostatnich miesiącach natrafiliśmy w pewnych dziennikach polskich już na pewne ślady propagowanej przez nas koncepcji i to oczywiście ślady w zabawnej formie, bo autorzy danych projektów, będących bardzo ogólnikowem, mglistem odbiciem programu

„Naszej Przyszłości“, ani jednem słówkiem o źródle tej koncepcji nie wspominanją, chcąc widocznie zdobywać sobie sztuczną palmę pierwszeństwa.

Dlatego tembardziej zaakcentować musimy na tem miejscu naszą inicjatywę, ciągnącą się nieprzerwanie już od trzech lat i wydającą już nawet pierwsze konkretne owoce — narazie oczywiście tylko fragmentaryczne — w postaci np. Związku Przyjaciół Litwy i projektów podobnych Związków Przyjaciół niektórych innych państw czy narodów ościennych. Zwłaszcza na teren litewski położony jest obecnie większy nacisk i bezpośredni kontakt między naszym Związkiem, a pewnemi kołami litewskiemi już nastąpił, czego dowodem niedawne spotkanie przedstawicieli obu stron w warszawskim Yachtklubie.

Równocześnie opracowuje się z inicjatywy „Naszej Przyszłości projekt urządzenia w Krakowie wspólnych uroczystości na cześć królowej polskiej i królewny węgierskiej Jadwigi przy udziale duchownego i świeckiego przedstawicielstwa obu narodów. Robi się inne jeszcze rzeczy, o których narazie nie czas jeszcze pisać, ale które konsekwentnie, metodycznie wejdą w czyn jedne po drugich — sumując się razem w planową akcję, wprawdzie tylko prywatną, obywatelską, torującą drogi do stopniowej realizacji bloku dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy.

Wobec tego wszystkiego żaden inny organ prasowy, ani żaden inny zaspół nie może kusić się ex post o pierwszeństwo koncepcji, rachując na nieświadomość swych czytelników resp. zwolenników.

Natomiast jest w całej tej sprawie inny czynnik, który idzie w parze z naszą akcją, aczkolwiek z pewnem naturalnem opóźnieniem, potwierdzając jednak raz po raz, bezpośrednio lub pewną okrężną drogą słuszność naszego programu i kierunku. A tym czynnikiem jest: życie, a więc w tym wypadku stopniowy, elementarny obrót tendencji i stosunków w środkowo-wschodniej Europie.

Bo czego żądaliśmy kolejno w naszym projekcie bloku dziewięciu państw? Żądaliśmy, żeby Polska, nie odmawiając wogóle udziału w organizacji genewskiej i wszelkich innych, z zachodu proponowanych konferencjach i paktach międzynarodowych, nie traktowała ich jednak przesadnie na serjo, nie upatrywała w nich głównego fundamentu i tarczy swej egzystencji, ale wyzwoliła się delikatnie z pod guwernerki mocarstw zachodnich i zaczęła jakąś samodzielniejszą, celową prowadzić politykę, zmierzającą do bezpośredniej rozbudowy swego bezpieczeństwa. W tym celu winna Polska zacząć wyłaniać ze siebie jakąś odpowiednią, niezbyt daleko sięgającą i niezbyt fantastyczną koncepcję, nie angażując się w tych najrozmaitszych sielankowo- oszukańczych pomysłach — paneuropejskich, naddunajskich, czy innych — które wytryskują raz po raz z głów różnych dyplomatów z zachodu li tylko po to, aby rzucać mniejszym państwom piaskiem w oczy i maskować wyścig zbrojeń lądowych, morskich i powietrznych.

Winna więc Polska rozejrzeć się uważnie dokoła siebie i starać się stopniowo, konsekwentnie, póki czas, budować sobie metodą odpowiedniej atrakcji polityczno-gospodarczej pewien „pierścień bezpieczeństwa", złożony przedewszystkiem z tych sąsiednich lub niedalekich państw mniejszych, które znajdują się w mniej więcej podobnie eksponowanej sytuacji, jak Polska i których egzystencji — wobec poszatkowania Europy środkowo-wschodniej na różne drobne twory państwowe—grozi prędzej, czy później poważne niebezpieczeństwo. Są to, poczynając od północy, Estonja, Łotwa i Litwa, następnie Czechosłowacja, Węgry, Jugosławja, Bułgarja i wreszcie większa od nich, ale niedawno dopiero szeroko rozbudowana Rumunja. Wszystkie te państwa leżą, razem z Polską, w tak nazwanym przez nas „trójkącie niebezpieczeństwa", między morzami Bałtyckiem, Azjatyckiem i Czarnem, narażone w danym razie na jakiś potężny atak ze wschodu lub zachodu, a i dzi-

siaj wygrywane ustawicznie przeciw sobie, jak piłki, przez wielkie mocarstwa.

Sprzężenie się tych właśnie dziewięciu państw jakąś silniejszą konwencją, czy unją polityczną, militarną i gospodarczą stworzyłoby im wielki, stumiljonowy organizm, odsunęło przez to grożące im w przyszłości wrogie zakusy i zarazem ułatwiło walkę z kryzysem społeczno-gospodarczym, przez wytworzenie wielkiego obszaru różnorodnej produkcji i zbytu na przestrzeni między trzema morzami. Zdajemy sobie wprawdzie dobrze sprawę z najrozmaitszych trudności konstrukcji takiego bloku i z przeciwieństw, jakie różne te państwa między sobą dzielą, ale przeciw tym trudnościom wysunęliśmy naczelną tezę, że państwom tym w ostatecznym bilansie więcej grozi, niż je między sobą dzieli i że dlatego wszelkich powinny dołożyć starań, aby dojść do porozumienia, nawet może za cenę pewnych, sprawiedliwych rektyfikacji wzajemnych granic. Kwestja bowiem paru kilometrów kwadratowych terytorjum nie przesądzi w niczem przyszłych losów i rozwoju danego państwa, a natomiast izolacja wśród wrogiego nastroju sąsiadów z powodu właśnie tych paru kilometrów kwadratowych stawia egzystencję tego państwa w bliższej lub dalszej przyszłości poważnie pod znak zapytania.

Podaliśmy wreszcie i metodę zapoczątkowania akcji w kierunku tworzenia takiego bloku, przeciw któremu w pierwszym rzędzie oczywiście intrygujące wielkie mocarstwa będą protestować (na co również oczywiście niebardzo oglądać się trzeba). Pierwszy początek powinna tu mianowicie dać inicjatywa prywatna jednostek głębiej myślących w tych różnych państwach i wzajemnem porozumieniem najpierw poszczególnych osób, potem odpowiednich organizacji i prasy wzbudzić coraz szerszy prąd koncentracyjny, aby na przygotowanej w ten sposób podstawie mogły rządy tych państw zacząć oficjalnie się porozumiewać.

W całej tej koncepcji — z pewnością daleko nam bliższej i stosunkowo realniejszej od nieszczerych pomysłów genewskiego zielonego stołu — leży na dnie pewna ogólna idea historyczna. Chodzi mianowicie o to, że zbyt skomplikowana nowoczesna dyplomatyka, oraz zbyt wybujały separatyzm narodowościowy i językowy dążą od czasu wielkiej wojny do rozproszkowania silnych tworów państwowych na coraz mniejsze. Wprawdzie tam, gdzie jeden naród podzielony był dawniej na szereg państw odrębnych, albo znajdował się częściowo pod panowaniem państw obcych, występuje silna tendencja koncentracyjna i unifikacyjna, czego najlepszym przykładem Włochy lub Niemcy. Ale zato tam, gdzie pewien większy obszar państwowy kilka zamieszkiwało ludów, ujawnia się zbyt daleko posunięta tendencja indywidualistyczna, dezagregacyjna. Najmniejszy naród, czy narodek chce tworzyć niezależne państwo, a raczej twierdzę, otaczaną skwapliwie przestarzałą ideą samostarczalności i w ślad za nią barjerami gospodarczemi, paszportowemi i t. p. Komplikuje to niesłychanie stosunki na świecie i niemało przyczynia się do bezterminowego prolongowania kryzysu i tamowania rozwoju kultury, dobrobytu i szczęścia jednostek.

Otóż w naszym wypadku chodzi i o to właśnie, aby tej ultranacjonalistycznej dezagregacji przeciwdziałać, która rozwija się szczególnie na terenie środkowo-wschodniej Europy. Tu bowiem różne jeszcze narody, zbiegiem okoliczności lub siłą przez innych zagarnięte, dążą do wyodrębnienia się politycznego. Wprawdzie siła istniejących tworów państwowych trzyma je jeszcze na uwięzi, a nawet stara się (zresztą beznadziejnie!) asymilować; ale zważyć trzeba, że na dzisiejszym poziomie kultury i uświadomienia o stałej asymilacji sztucznymi środkami mowy być nie może. W rezultacie grozi ta bałkanizacja środkowowschodniej Europy coraz większym fermentem, który z biegiem lat pomnożyć może już i tak zbyt rozdrobnioną

na tym obszarze szachownicę, wytwarzając drobne państewka językowe, niezdolne do oporu przeciw jakiemukolwiek silniejszemu podmuchowi z zewnątrz.

Pewna więc konsolidacja dziewięciu państw wymienionych w ramach wspólnego bloku i porozumienia osłabi niewątpliwie owe tendencje dezagregacyjne w obrębie każnego z nich, skoro układ ścisłego przymierza i tak ograniczy bezwzględną niezależność każdego państwa i każdego narodu. Np. Słowak lub Chorwat, uczuwający dotąd dotkliwie jarzmo obcego panowania, mniej będzie to odczuwać w ramach bloku, gdzie wszystkie dane państwa i zamieszkujące je narody wejdą dobrowolnie w stosunek pewnej zależności wzajemnej dla wspólnego dobra. A zniesienie paszportów i znaczne w każdym razie — jeżeli nie całkowite — obniżenie barjer celnych wytworzy atmosferę większej swobody, wobec czego osłabną niewątpliwie tendencje i przeczulenie ultranacjonalistyczne.

Oto mniej więcej, w ogólnym zarysie, co od trzech lat głosimy w nadziei, że chociaż narazie rzecz trudną wydaje się do realizacji, nie mniej jednak kropla wydrążyć może najtwardszą skałę.

I otóż właśnie jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności, a raczej pod działaniem instynktu samozachowawczego tych różnych państw, o które nam chodzi, koncepcja nasza jak gdyby ziszczać się zaczyna. Oczywiście nie w prostej linji, nie według teoretycznie nakreślonego szematu, ale jednak postępuje różnemi, nieraz bardzo okrężnemi drogami stale naprzód. Tysiączne składają się na to przyczyny, w które nie miejsce tu wchodzić, ale dość na tem, że rzecz idzie naprzód.

Przedewszystkiem od roku zgórą zerwała się Polska do samodzielnej polityki, otrząsając się z guwernerki francuskiej — która traktowała nas gorzej, niż Murzynów z Senegalu — i z innych „obcych agentur“. Pakty o nieagresji z Rosją i Niemcami zaskoczyły intrygujący wciąż zachód

i sparaliżowały grożące nam do niedawna kleszcze. Trzy państwa bałtyckie pertraktują o unję, wprawdzie narazie niby niezależnie, ale czują doskonale, że unja ta bez Polski nie będzie miała większej wartości. Litwa coraz wyraźniej zbliża się do nas, mimo całego nasrożenia swych sfer urzędowych i inscenizowanych tu i ówdzie sztucznie wieców i krzyków o Wilno. Z Rumunją od dawna mamy sojusz, a z Węgrami coraz bliższe stosunki, zwłaszcza od czasu, gdy przestano na Węgrzech kokietować z Prusakami, a zwrócono się stanowczo ku Włochom, na co tylko z sympatją patrzeć możemy. Z Jugosławją łączy nas nieprzerwana i coraz bliższa wymiana kulturalna, turystyczna i gospodarcza. Tylko Bułgarja jeszcze, miotana częstymi przewrotami, trzyma się na uboczu, ale rozwijająca się od niedawna unja bałkańska ułatwi zapewne różnemi pośredniemi drogami w odpowiednim momencie jej zainteresowanie projektem bloku. Pozostaje Czechosłowacja, z którą na razie jesteśmy w stanie „wojny", wprawdzie nie na bagnety, ale przynajmniej na noże. Z nią trudna sprawa, bo ona śni wciąż o jakiejś kulturalno-politycznej hegemonji w słowiańszczyźnie, boi się Węgrów, jak ognia, a przytem poddała się w wysokim stopniu w zależność od Paryża, a zwłaszcza od pewnych tamtejszych specjalnych sfer, którym p. Benesz zawdzięcza cały swój kredyt na świecie i we własnym kraju. Chcemy więc mówić i z Czechosłowacją, ale cóż, kiedy ona dąsa się i droczy, a nie wiedząc, na której wobec nas stanąć nodze, inscenizuje narazie prześladowanie i „wynaradawianie" Polaków na swem terytorjum.

Nie peszy nas to bynajmniej, ale i nie przeszkadza wyciągnąć rękę gdzieindziej. Nie chcą Czesi z nami gadać, to będziemy rozmawiać ze Słowakami. Bardzo to sympatyczny i dzielny naród, który mimo tylowiekowej madziaryzacji, germanizacji i czechizacji, mimo przechodzenia po dziś dzień z jednego jarzma pod drugie, zachował przez wieki w zdumiewający sposób wszystkie swe narodowe cechy

i walory. Mamy też niepłonną nadzieję, że ci nasi słowaccy sąsiedzi, z którymi stykamy się na granicy uroczych grani tatrzańskich, oprą się i tej najnowszej fali czechizacyjnej. Sprawa słowacka wchodzi u nas obecnie w modę żywiołowym rozpędem. A w dalszej przyszłości może następcy p. Benesza zaczną jednak częściej jeździć do Warszawy, niż do Paryża, bo wszystko możliwe na tym powojennym świecie, nawet to, co się chwilowo najmniej prawdopodobnem wydaje...

A „Nasza Przyszłość", wierna swej nazwie, przenosząc się ponad chwilowe, drobne dyplomatyczne aktualja (gdyż politykowaniem nie zajmujemy się wcale), drążyć będzie dalej swą ideą bloku twardą dyplomatyczną skałę non vi, sed saepe cadendo!

Bo w tym kierunku leży głębszy sens historji wszystkich dziewięciu państw, o których skupienie nam chodzi. Ale ocenić to może oczywiście tylko ten, kto dobrze zna historję i nie zapomniał po maturze różnych dat i wydarzeń.

Uczestnik Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości"

WALKA Z PRZYMUSOWEM UBEZPIECZENIEM.

Sprawa, którą niniejszem poruszamy, stanowi jeden z najważniejszych odcinków problemu prawa własności prywatnej i swobody indywidualnej, a więc dwuch pierwszorzędnych zdobyczy i fundamentów wyższej cywilizacji, wielce już nadkruszonych i coraz bardziej masakrowanych przez nowoczesną demagogję wszelkiego rodzaju.

A poruszenie tej wielkiej bolączki w obecnej chwili nie od nas wychodzi. Wprawdzie „Nasza Przyszłość" grzmiała dawniej przy każdej okazji przeciw wszelkim, przymusowo narzuconym przez państwo „dobrodziejstwom", tłumacząc, że wszystkie takie dobrodziejstwa celu swego właściwego nie osiągają, stają się źródłem nadużyć i ucisku i ułatwiają pośrednio drogę bolszewizacji stosunków. Argumentowaliśmy nieraz, że w kwestji dobrodziejstw przymusowych instytucja państwa stanowczo przekracza swój cel, swe kompetencje i swą rolę, stając się nieznośnym dla obywatela ciężarem.

Tłumaczyliśmy, że Ojczyzna, wymagająca od obywateli rzeczy nieprzyjemnych, a więc np. służby wojskowej lub podatków, nie staje przez to w sprzeczności z uczuciem patrjotycznem obywateli, gdyż każdy z nich rozumie, że te przykrości, te ciężary są dla utrzymania i obrony państwa niezbędne. Ale przymusowe narzucanie dobrodziejstw czyni Ojczyznę wstrętną i żaden najcięższy podatek na motoryzację armji, na rozbudowę dróg, kolei i portów, albo na utrzymanie korpusu urzędniczego, czy na rozwój szkolnictwa lub na inne, realne potrzeby państwa, nie przeciwstawia obywatela Ojczyźnie tak dalece, jak przymusowo wyrywane z niego świadczenia na różne t. zw. dobrodziejstwa społeczne.

To wszystko podnosiliśmy już nieraz, robiąc autorom wszelakich ustaw „dobroczynnego przymusu“ ciężki zarzut, że nam swemi demagogicznemi koncepcjami przemieniają świetlaną postać Ojczyzny-matki na wstrętnego i niebezpiecznego, etatystycznego Molocha. Co się Państwu należy, to każdy dać powinien, nawet z poświęceniem — ale państwo nie ma prawa obdzierać obywatela do ostatniej koszuli w imię jakichś utopijnych pomysłów biurokratyczno-demagogiczno-uszczęśliwiających. Szczęście i zabezpieczenie osobiste niech sobie stwarza każda jednostka odpowiednią zapobiegliwością i pracą, a państwo niech jej tylko da w tym kierunku swobodę i nie miesza się do rzeczy, które do niego nie należą. Państwo stanowczo nie powinno być zakładem przymusowej dobroczynności, bo taka sprawa w ręku obojętnego biurokraty-polityka, a co gorsza biurokraty-fiskalisty, musi wypaczyć się w nieznośną karykaturę swego własnego założenia.

Ale, powtarzamy, tym razem atak nie od nas wychodzi. Poruszyła tę sprawę bowiem pierwsza półurzędowa „Gazeta Polska“ z początkiem lata, otwierając na swych łamach szeroką dyskusję ubezpieczeniową. Już to samo świadczy wymownie o tem, że sprawa ubezpieczeń jest grubo nie w porządku. Podjął rzecz wkrótce potem krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny“, bijąc szeregiem doskonałych artykułów, jak taranem, w bramę nietykalnego dotąd tabu ubezpieczeniowego. Teraz my dopiero pozwalamy sobie zabrać głos z kolei.

Groźna i bolesna tragikomika całej koncepcji przymusu ubezpieczeń społecznych wszelkiego rodzaju leży dzisiaj przedewszystkiem w tem, że na serjo nikt ich nie pragnie, każdy je przeklina, a jednak nikt nie ma na tyle odwagi cywilnej (zresztą już nawet niepotrzebnej) i zdrowego objektywizmu, aby całą tę koncepcję, na wskroś demagogiczną i dla państwa bezspornie szkodliwą, wyrzucić tam, gdzie należy, to jest — na śmietnik. Tyle rzeczy z lamu-

sa bezkrytycznej demagogji powojennej wywrócono u nas szczęśliwie w ostatnich latach, zgnieciono, wyśmiano i zredukowano do bardzo skromnej roli nawet parlamentaryzm i wszechpotężne, tak niedawno jeszcze, partyjnictwo, ale przed fantomem przymusowych ubezpieczeń społecznych każdy w Polsce zwija najśmielsze żagle!

Dlaczego? Bo każdemu się zdaje, że gdyby zamknięto pewnego dnia na dwa spusty zakłady ubezpieczeniowe, albo choćby tylko zniesiono przymus ubezpieczenia państwowego, to wybuchnie rewolucja w szerokich masach. Pomyłka kapitalna — bo nie tylko żadna nie wybuchnie rewolucja (za wyjątkiem kilku okrzyków redaktorów pisemek socjalistycznych, które przebrzmią bez echa), ale przeciwnie: przez cały kraj, jak długi i szeroki, przejdzie westchnienie ulgi!

Wie o tem wielu, którzy mogliby przyczynić się do wielkiego patrjotycznego czynu i uwolnić nas od tego wstrętnego, bolszewizującego, a pozatem jałowego ciężaru. A jednak brak im odwagi, czy objektywizmu zdobycia się na to pociągnięcie. Co najwięcej kręcą się niektórzy reformatorowie, czy kandydaci na reformatorów ubezpieczeniowych w błędnem kółku „usprawnienia" ubezpieczeń. Ale na to, co najważniejsze i najistotniejsze, nikt jakoś porwać się nie ośmiela: na zdecydowanie, żądanie zniesienia przymusu ubezpieczeniowego. Bo niema nic gorszego, jak połowiczne usuwanie jakiejś bolączki i wykręcanie się sianem. Aleksander Wielki nie mędrkował nad węzłem gordyjskim, ale rozciął go mieczem odrazu, dając tem niejako dowód, że jest wstanie podbić olbrzymie państwo perskie.

Nie usprawnienie więc instytucji ubezpieczeń społecznych stanowi w pierwszym rzędzie najpoważniejszy problem w tej dziedzinie, ale zniesienie — bez zastrzeżeń — wszelkiego ubezpieczeniowego przymusu i, co zatem idzie, powszechnego ubezpieczeniowego podatku. Bo wszak nie może dzisiaj już ulegać najmniejszej kwestji, że wszelkie

przymusowe świadczenie ubezpieczeniowe, wymyślone swego czasu sprytnie przez socjalistów i innych radykałów dla rzucenia masom piaskiem w oczy, nadkruszenia większych warsztatów pracy i zdobycia sobie w ten sposób dochodów partyjnych, są obecnie w głębszej swej istocie poprostu podatkiem państwowym. I w tem leży przedewszystkiem wielka niemoralność ubezpieczeniowego przymusu; praktycznie biorąc, pod hasłem dobrodziejstwa społecznego chodzi tu o podatek państwowy, a głoszone dobro społeczne traktowane jest bezwzględnie na drugim planie. A najwybitniejszym dowodem tego stanu rzeczy jest fakt, że na instytucję ubezpieczeń łożyć muszą ci także, którzy wcale z niej korzystać nie chcą, zarówno pracodawcy, jak i wielu, wielu pracobiorców. A więc jest to stanowczo danina fiskalna, a nie celowa instytucja dobroczynna!

Zresztą inaczej—przy przymusie ubezpieczeniowym—nawet być nie może. Przymus ten, jak wogóle cały, niesłychanie ciężki aparat ubezpieczeniowy, w minimalnym tylko stopniu oddaje społeczeństwu to, co mu odbiera i co z niego wyciska. Całe społeczeństwo polskie — z bardzo nielicznymi chyba wyjątkami — zgodne jest w tem, że w Kasach Chorych leczyć się na serjo nie można, a świadczenia działu ubezpieczeń dla pracowników umysłowych byłyby bezwzględnie najlepszym tematem dla zdolnego komedjopisarza, gdyby rzecz nie była naprawdę smutną! Opieka lekarska i sanitarna oraz wszelkie inne dobrodziejstwa ubezpieczeniowe, obiecywane biednym delikwentom za życia i po śmierci, nie mogą być naprawdę wydatne i sumienne, skoro nieczuły z natury rzeczy na ludzką niedolę biurokratyzm państwowo-ubezpieczeniowy, mając i tak zapewnioną egzystencję na podstawie powszechnego podatku, nie ma żadnego specjalnego bodźca do prawdziwie gorliwego pełnienia swych zadań.

Nie robimy z tego nawet specjalnego zarzutu lekarskiemu i administracyjnemu aparatowi ubezpieczeń pań-

stwowych — bo ten smutny stan rzeczy uważamy po ludzku za nieuchronny. Wszak każdy człowiek musi mieć jakiś bodziec psychiczny lub materjalny do łożenia wysiłków celem jak najlepszego pełnienia swych obowiązków. Prywatne przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe ma taki bodziec w samym momencie konkurencji z innem, lekarz, ordynujący prywatnie lub wogóle w warunkach, w których dostrzega taki lub inny moment zysku, fabryki i inne warsztaty pracy, które fundują różne zakłady dobroczynne dla swych robotników w swym własnym interesie — wszyscy oni działają gorliwie pod wpływem owego wspomnianego bodźca. A jakiż bodziec odczuwa lekarz, sanitarjusz lub urzędnik ubezpieczeniowy? Żadnego — chyba, że jest ideowcem, no, a na takich wyjątkowych kwalifikacjach ludzkich niepodobna i niewolno opierać olbrzymiego państwowego aparatu dobroczynnego.

Jeżeli Polska ma potrzeby finansowe dla uzupełnienia swego budżetu, to niech Rząd ogłosi to wyraźnie, jak to zrobił z niedawną pożyczką narodową. Niech nałoży, w razie koniecznej potrzeby, jakąś jednorazową lub choćby wielokrotną daninę. Niech wiemy, że to idzie bezpośrednio na ważne potrzeby państwa, na wojsko, komunikację, szkoły lub choćby na propagandę zagraniczną. Ale dalsze utrzymywanie nad społeczeństwem nieznośnego ciężaru przymusowych świadczeń na ubezpieczenie, z których w każdym razie znaczna część — praktycznie biorąc — marnuje się bez potrzeby, jest moralnym i materjalnym absurdem i powinno być jaknajrychlej zniesione.

Kto to uczyni, temu społeczeństwo nasze zpewnością całem sercem pomnik wystawi!

Niestety, w łonie samego społeczeństwa tkwią jednak po dziś dzień jeszcze pewne hamulce, które podtrzymują nieznośny absurd ubezpieczeniowego przymusu ze wszystkiemi jego demagogicznemi i fiskalnemi konsekwencjami.

W jakich sferach społeczeństwa tkwią głównie te psychiczne hamulce?

Na serjo mówiąc, już nie w socjalistach, bo tym — skoro wymknęły im się z rąk rządy w Kasach Chorych — niebardzo już na instytucji ubezpieczeń społecznych zależy. W razie zniesienia przymusu użyliby to conajwięcej ich agitatorzy wyborczy za chwilowy motyw do przemówień wiecowych, ale nic więcej. Na serjo nie wchodzi to w rachubę, tembardziej, że żaden robotnik nie jest zadowolony z aparatu ubezpieczeniowego. Najważniejszy natomiast hamulec leży w całkiem innej sferze społeczeństwa, po której, logicznie biorąc, takiego ultrademagogicznego stanowiska nie powinnoby się było spodziewać. Opór bowiem przeciw usunięciu przymusu ubezpieczeń wychodzi dzisiaj najsilniej, najuparciej ze sfery wyższego, umiarkowanego intelektu społecznego, a zwłaszcza od niektórych prawników i polityków z tej sfery.

Owładnięci niedającym się wykorzenić oportunizmem, zasklepieni w demagogicznych formułach hasełkowego postępu i „ducha czasu“, którym zpoczątku zanadto byli sprzeciwni, a w których obecnie — jakiemś dziwnem prawem reakcji — zanadto utkwili, trzęsąc się ze strachu, przed t. zw. „sądem wnuków“, aby im rzekomo nie zarzucili wstecznictwa, nie mogą ci panowie, poważni, zażywni i nad miarę erudyci, oderwać się od zakostniałego pojęcia, że wszelkie, tak zwane „prawa nabyte ludu i postępu“ mają tak długo tylko rację bytu i głębsze fundamenty w opinji szerokich mas, jak długo są albo jeszcze świeżo narzucone i niewypróbowane na swą istotną wartość, albo jak długo wartość tę istotnie wykazują. Nie rozumieją ci panowie tak prostej rzeczy, że wszelka „zdobycz“ polityczna lub społeczna, która okazała się humbugiem lub niecelowym ciężarem, traci w oczach mas — bardzo trzeźwo i realnie myślących — wszelką wartość i jednem kopnięciem zdecydowanego reformatora może być wyrzucona z ustroju pań-

stwa, nie pozostawiając żadnego śladu, lub żalu po sobie. Strach przed fikcją gniewu ludu, przed wspomnianym sądem wnuków, a przedewszystkiem przed własnym cieniem z jednej strony, a z drugiej nadmierne przywiązanie do utartych w każdej danej epoce, czy konjunkturze formułek prawno-politycznych zasłania tym panom objektywny pogląd na rzeczywistość i w rezultacie powtarzają oni bezkrytycznie ultrakonserwatywne, przestarzałe hasła i formuły, w które żaden nawet proletarjusz już nie wierzy. Faktem jest, że obecnie — jak możemy twierdzić to z codziennej praktyki — różne sfery prawniczo-zachowawcze najwybitniej obstają przy konserwowaniu przymusu ubezpieczeniowego, a pragnęłyby go tylko „usprawnić“, a więc tembardziej utrwalić. Bo jasnem jest, że każde zło, gdy się jego funkcjonowanie poprawi i usprawni, tem więcej się zakorzenia i tem trudniej je potem usunąć.

Ciężką więc odpowiedzialność biorą na siebie ci ludzie umiarkowani i wykształceni, których moralny autorytet zawsze jednak jeszcze w opinji publicznej coś znaczy, że przyczyniają się swym oportunizmem do przedłużania szkodliwych urządzeń w państwie, zamiast zwalczać je w sposób zdecydowany i całą swą erudycję i walor moralny położyć na odpowiedniej szali!

Ulubioną ich pod tym względem wymówką jest z reguły obrazowe wyrażenie, że muszą iść „z prądem życia“, skoro opór ich przeciw wymaganiom postępu nie miałby większego znaczenia, jak rzucanie gałązek pod rozpędzony automobil. Znowu kapitalna omyłka i zapoznanie rzeczywistej sytuacji.

Rzucaniem bowiem gałązek pod automobil byłby opór ludzi umiaru przeciw hasłom demagogicznym wówczas, gdyby w jakimś powszechnym, rewolucyjnym porywie masy ludowe niszczyły i zmiatały wszystko przed sobą. Przyznajemy, że opór przeciw pożądaniom mas w chwili np. największego natężenia rewolucji francuskiej lub największego



rozwydrzenia bolszewickiego terroru byłby bezskuteczny. Ale w czasach względnie spokojnych, zwłaszcza obecnie, gdy wszystkie ludy szukają jakiegoś racjonalnego wyjścia z kryzysu, gdy ustroje i nastroje w poszczególnych państwach zmnieniają się z roku na rok z szybkością kalejdoskopu, gdy wola szerokich mas jest właściwie żadna, a w każdem niemal państwie decydujący głos mają nieliczne jednostki — w takich warunkach zdecydowane, konsekwentne i dobrze argumentowane wystąpienie ludzi z wykształceniem i odwagą cywilną może mieć wielki wpływ na kształtowanie się opinji, a w ślad za tem i ustroju. Tak i rola polskiego konserwatysty, a zwłaszcza konserwatysty-prawnika, występującego za gruntownem przekształceniem szeregu szkodliwych dla państwa i społeczeństwa „zdobyczy" z pierwszych czasów powojennych, które się już stanowczo przeżyły i tylko siłą bezwładności w ustawodawstwie państwowem jeszcze utrzymują, nie będzie bynajmniej rzucaniem gałązek pod automobil, ale wprost przeciwnie, potężny może odnieść stopniowo rezultat. Wszak mówiąc dzisiaj o przymusie ubezpieczeń, prawie własności i swobodzie obywatelskiej wogóle, przemawia się nie do jakichś szerokich mas, które w istocie nic nie mają do gadania, ale właściwie do jednej lub kilku, lub najwyżej kilkunastu miarodajnych osób w kraju. A osoby te, na których odpowiedzialność za losy państwa spoczywa i które same silą się na wynalezienie najlepszych reform i pokonania przeróżnych trudności nowoczesnego państwa, jak najchętniej wyczekują jakichś zdecydowanych, orjentujących głosów z łona społeczeństwa. Jeżeli masy milczą, albo powtarzają niekiedy biernie narzucane im przez demagogów hasła, jak nakręcona pozytywka, a z drugiej strony sfery umiarkowanego intelektu nietylko stanowczo przeciw tym hasłom nie oponują, ale przeciwnie, z wielkim patosem i frazeologją prawniczej erudycji je podtrzymują, to w takiej sytuacji najlepszy rząd państwa mu-

si w końcu, w średniej wypadkowej, iść mniej lub więcej na lewo.

Albo może się i coś innego jeszcze zdarzyć: rząd i szersze masy, przemęczone kryzysem, uświadamiając sobie dobrze zgubne skutki pozornych „zdobyczy ducha czasu i postępu“, zaczynają orjentować się na prawo, w kierunku zdrowego rozsądku, odrzucając przestarzałe formułki, jak rupiecie, a natomiast sfery umiarkowanego intelektu, które nie spełniają swej właściwej roli i obowiązku, zostają pominięte, tracą znaczenie i rację bytu i osiadają na piasku z piętnem niefortunnych podpieraczy demagogicznego postępu.

My, ludzie z pod znaku „Naszej Przyszłości“, takiego losu nie pragniemy. W kwestji postępu, ustroju państwa, prawa własności i społecznego przymusu obojętnem nam jest zupełnie, co prawiły kodeksy przedwojenne i co prawią kodeksy i hasła powojenne na całym świecie. To wszystko nie stanowi dla nas żadnego precedensu, ani szkopułu. Dla nas miarodajnem jest tylko zagadnienie, czy dana ustawa, lub dana instytucja jest obecnie dla państwa i społeczeństwa polskiego realnie korzystną, czy niekorzystną?

Otóż najmniejszej nie ulega dla nas wątpliwości, że przymus ubezpieczeń społecznych jest pod każdym względem niecelowy i szkodliwy. Ideę i korzyści ubezpieczenia wszelkiego rodzaju trzeba propagować tak np., jak się propaguje — i to bardzo skutecznie — wkłady oszczędnościowe w Pocztowej Kasie Oszczędności. Ale niechże kwestja zabezpieczenia się na wypadek choroby, starości, niezdolności do pracy, śmierci i t. p. pozostaje swobodnemu uznaniu każdego obywatela! Jest błędem edukacyjnym traktować obywateli, jak małoletnich. A już wprost fałszywem i niemoralnem jest ubezpieczać przymusowo od starości, bo wówczas niweczy się w szerokich masach zdrową dążność do oszczędzania. Każdy robotnik, a zwłaszcza bezrobotny kombinuje sobie, że skoro państwo ubez-

piecza go na starość przymusowym podatkiem przeważnie z cudzej kieszeni, to po co oszczędzać dla siebie i dla dzieci! Lepiej przepić i wspomagać różne monojole państwowe! A już o resztę postara się państwo, ściągając daninę ubezpieczeniową przeważnie z „bogatego“ burżuja.

Czy to moralne i czy wzmaga tężyznę ludu pracującego w Polsce?

Stanowczo nie. I dlatego wielkim głosem wołamy o całkowite zniesienie wszelkiego przymusu ubezpieczeniowego, zrzucenie tego wstrętnego, tak brutalnego i tak biurokratycznego ciężaru z barków państwa i społeczeństwa, a natomiast pozostawienie sprawy ubezpieczeń i wszelkich dobrodziejstw społecznych inicjatywie i konkurencji prywatnej, stwarzając dla nich tylko pewne ramowe, prawne i finansowe wymogi działania, gdy zechcą się gdziekolwiek swobodnie ujawnić. A że to nastąpi i to w szerokim zakresie, bez przymusu, bez nadużyć i w daleko lepszej, niż dotychczas formie, to najmniejszej nie ulega wątpliwości.

Może państwo zresztą wystąpić w tej dziedzinie w szranki swobodnej konkurencji, unikając oczywiście wszelkiego przymusu. Ale ten właśnie moment swobodnej konkurencji z dobroczynnością prywatną sprawi niewątpliwie, że instytucje ubezpieczeń państwowych, jako oparte na najsilniejszej podstawie finansowej, staną na wysokim poziomie i stworzą atrakcję dla obywateli, którzy wówczas swobodny będą mieli wybór ubezpieczyć się w zakładach państwowych lub prywatnych. Ale ten wybór ze swej strony i to dobrowolne ubezpieczenie w takim czy innym zakładzie cenić sobie będzie każdy ubezpieczony stokroć więcej właśnie dlatego, że będzie to aktem jego własnej decyzji, zmysłu przewidywania i oszczędzania.

Zarzut zaś, podnoszony przeciwko naszej tezie swobody ubezpieczeniowej, że mianowicie jest zadaniem państwa przeciwdziałać przymusowo nędzy i żebractwu przez stwarzanie ustawowe najuboższym nawet, bezrobotnym

obywatelom pewnego najskromniejszego minimum egzystencji systemem przymusowych ubezpieczeń, odpieramy stanowczem twierdzeniem, że taka akcja przymusowa nie jest wcale zadaniem państwa i zresztą — na nic się nie zda. Państwo nie powinno być piastunką pełnoletniego obywatela, ani jakąś „armją zbawienia“, zbierającą wszystkich pijaków i nędzarzy z rynsztoku, czy z pod płotu. Propagandę ubezpieczeniową trzeba robić, a najlepszą propagandą będzie takie radykalne usprawnienie systemu dobrowolnych ubezpieczeń i tak wydatne, sumienne, a oczyszczone z obecnego biurokratyzmu świadczenia na rzecz ubezpieczonych ze strony ubezpieczalni, aby każdy najciemniejszy chłop na dalekiem Polesiu widział namacalną korzyść z ubezpieczania się przeciw różnym ewentualnościom. Wymowny przykład jednego lub drugiego sąsiada ogromnie może tu podziałać.

Natomiast żaden przymus ustawodawczy nie wyeliminuje z granic państwa ubóstwa i żebractwa. Są to bowiem rzeczy, które dotyczą natury ludzkiej — charakteru i kultury poszczególnych jednostek. Wszak niebrak dzisiaj mnóstwa przymusowo ubezpieczonych i pobierających zasiłki, którzy z jednej strony chwalą sobie ten nowy „zawód“ bezrobocia i odrzucają okazję do pracy, jako fatygi, która wobec zasiłków wcale im się nie opłaca, a z drugiej strony uzupełniają swe „dochody z bezrobocia“ zawodowem i pełnem pretensji żebractwem. Dzisiaj np. znika już na wsi rzadki zresztą dawniej typ prawdziwego żebraka, proszącego skromnie o jakiś datek lub kawałek chleba, a na jego miejscu mnoży się—dzięki przymusowi ubezpieczeń—w zastraszający sposób typ okrężnego bezrobotnego, który z arogancją domaga się i znacznego datku i całego obiadu, wydając „zlecenie“ wprost kucharzowi dworskiemu, bez oglądania się na właściciela dworu. Zasiada w pobliżu głównego wejścia i czytając gazetę z założonemi nogami, oczekuje z arogancją na żądany posiłek, jak gdyby to wszy-

stko należało się z prawa uprzywilejowanemu, bezrobotnemu obywatelowi. A na grzeczne zapytanie pani domu, czego sobie życzy, odpowiada wyniośle, że pani troszczyć się o to nie potrzebuje, gdyż wydał już odpowiednie polecenie kucharzowi. A brzmi w jego głosie między wierszami groźba, że jeżeli jego zlecenia nie będą spełnione, to conajmniej sterta, jeżeli nie cały folwark, mogą pójść z dymem.

Oto namacalne, praktyczne rezultaty przymusu ubezpieczeniowego. Lud demoralizuje się bezgranicznie, bandyckie ubóstwo i włóczęgostwo rośnie w zastraszający sposób, aparat państwowych ubezpieczeń wchodzi do kart historji, jako odstraszający przykład demagogicznej i biurokratycznej psychozy.

I dlatego „Nasza Przyszłość“ wzywa do opamiętania przedewszystkiem wielu prawników swej sfery, aby zechcieli porzucić swoje płochliwe, oportunistyczne formułki o „prawach nabytych ludu i postępu“ i zgodnym, bezkompromisowym frontem potępili wszelki przymus w dziedzinie dobroczynności społecznej, jako zasadniczo niemoralny, a dla państwa i społeczeństwa zgubny pod każdym względem.

Piękna rola otwiera się tu także dla prawdziwych demokratów, skoro przecież podstawowa idea demokracji głosi przedewszystkiem obywatelską swobodę. A cóż to za swoboda, jeżeli państwo gwałtem, batem i uciskiem fiskalnym zmusza obywatela do poddania się pod wstrętne jarzmo przymusowych dobrodziejstw, których nikt naprawdę sobie nie życzy i które otwierają tylko pole do wszelakich nadużyć, zakostniałego biurokratyzmu i absurdu?!

A kto sądzi inaczej, komu czcza formułka, rzekomo postępowa i zasada przymusu nietylko w obowiązkach (bo to słuszne), ale i w urojonych „dobrodziejstwach“ obywatelskich milszą jest od rzeczywistości i zdrowego rozsądku, ten niechże przeniesie się do jednego z tych państw nowoczesnych, ufundowanych na wszechstronnej dyktaturze

państwowej, gdzie każdy krok i oddech obywatela regulowany jest przez państwo pod przymusem. Nie brak dzisiaj takich państw i to nawet niedaleko. Tam nasi formułkowicze przymusu w dobroczynności znajdą zpewnością szerokie pole działania i — karjerę.

U nas nie. W Polsce mogą się tacy panowie na dłuższą metę tylko skompromitować. Przymus bowiem społeczny — oczywiście poza koniecznościami państwowemi — jest właściwie obcy polskiej naturze, jest bezsprzecznie małpowaniem cudzych wzorów i „obcych agentur". Polacy zbyt nieraz pohopnie rzucają się w pierwszej chwili na różne zagraniczne nowinki, ale po pewnym czasie zniechęcają się do każdej obczyzny i zdrowy, domowy rozsądek bierze górę. Dlatego pp. zwolennikom zasady przymusu ubezpieczeniowego — wyjętej żywcem z socjalistycznego kanonu — grozi perspektywa, że niezadługo zdystansowani zostaną przez bieg prawdziwego, realnego postępu i — jako się wyżej rzekło — razem ze swymi kanonami oportunistyczno-konserwatywno-marksowskimi osiądą na piasku.

Przymusowo ubezpieczony.
